Stron 8 ŚWIĘCI NA EKRANIE - EPILOG - „GDAŃSK" **Cena 1 sh**

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Rok IV. **Londyn, niedziela 5 listopada 1950** **Nr. 45 (176)**

ZOFIA KOSSAK

STOSOWNA CHWILA

Rozmowa poniższa stanowi echo wielu rozmów prowadzonych obecnie na ten sam temat w różnych częściach świata. Rozmówcami są katolik i nie katolik.

NIE zapieraj się, mój drogi, że zapowiedź ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu, wprowadza was samych w zakłopotanie. Co za niezręczność ze strony Watykanu! W chwili gdy mógłby wygrać wielką stawkę, gdy inne Kościoły coraz wyraźniej napomykają o chęci zgody, papież ucina możliwość porozumienia pomiędzy nimi a Rzymem! Zamiast wahających zachęcić, ogłasza dogmat niemożliwy do przyjęcia! Czego się śmiejesz?

— Z twoich wywodów. Taktyka... Przegrana... To dziwnie brzmi w zastosowaniu do Kościoła i spraw wiary. By wygrać, lub przegrać, trzeba g r a ć, Kościół zaś nie bierze udziału w jakiejkolwiek grze. Wyciągać ręki do zgody nie potrzebuje, gdyż z nikim się nie poróżnił, natomiast gotów jest każdej chwili otworzyć szeroko ramiona by powitać wracających... Nakoniec, roześmiałem się, gdyż powtórzyłeś dosłownie, acz zapewne niechcący, zarzuty jakie stawiano niegdyś Stolicy Apostolskiej z okazji ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu...

— Przyznaję, że nie wiem, kiedy ten dogmat był ogłoszony i w jakich okolicznościach?

— Papież Pius IX ogłosił go przed stu laty, ściśle mówiąc, w r. 1854. Czasy ówczesne nie były sprzyjające. Świeżo miniona Wiosna ludów zostawiła w całej Europie ferment rewolucyjny. Państwo kościelne upadło, w Italii Carbonary, Garibaldi... We Francji dwulicowy krętacz Napoleon III; wszędzie najmłodsze dziecko epoki: socjalizm. Do tego pyszałkowata wiedza, o której dziś już mówimy „wiedza" w cudzysłowie, lecz która wówczas sądziła, że stoi u szczytu osiągnięć dla ducha ludzkiego dostępnych... Wszyscy wymienieni poczytowali Kościół za siłę wsteczną, uosobienie obskurantyzmu i staroświeckich przesądów... Sugestiom tym ulegało wielu katolików. W umysłach zarysowywał się ruch, mający być w przyszłości potępiony jako modernizm przez Piusa X i nazwany przezeń „rendez-vous wszystkich herezji". Zwolennicy tego ruchu sądzili, iż zbawią Kościół „podciągając" go ku poziomowi ówczesnej wiedzy i „odświeżając" przez odrzucenie niektórych, rzekomo przestarzałych dogmatów. Wówczas to Pius IX odpowiedział na te zabiegi ogłoszeniem cudownie mistycznego dogmatu Niepokalanego Poczęcia, bliskiego duchowi średniowiecza, dalekiego od umysłowości XIX wieku... Prowokacja, co? To też zareagowano gwałtownie. Wrogowie szydzili, swoi byli zgnębieni. Wśród katolików niemieckich wybuchła opozycja. Podobnie we Francji, w kołach zbliżonych do jansenizmu... Szczerą radość z powodu ujęcia w dogmat prastarej, na tradycji opartej wiary, odczuwały tylko liczne rzesze ludzi prostych. Dla nich decyzja Piusa IX była rzeczą naturalną. Pamiętali, iż przed kilku laty szarytka, Katarzyna Labouré, ujrzała w widzeniu postać Najświętszej Panny otoczoną napisem: „O Mario bez zmazy poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy!" Równie naturalnem zdało im się, że w parę lat później, w grocie pirenejskiej, nieopodal Lourdes, Najświętsza Panna ukazawszy się Bernadetce Soubirous, rzekła: „J a j e s t e m N i e p o k a l a n e P o c z ę c i e", — przyświadczając inicjatywie papieża. Gdyż Niebo przyświadcza zawsze tym, co nad względy ziemskie stawiają chwałę Bożą...

— Cóż było dalej?

— Dalej? Normalnie.

— Wrzawa zgorszenie, skandal, wywołane dogmatem trwały jakiś czas, aż ucichły. Modernizm minął bez śladu, podobnie jak panteizm, naturalizm i inne. Wiedza postąpiwszy znacznie wprzód, złożyła swą pychę i przestała twierdzić, że poznała wszystkie tajemnice. Autorytet zaś Kościoła i Stolicy Apostolskiej jest większy dziś niż był kiedykolwiek...

— Co się udało raz, może się nie udać drugi raz. Zostawmy jednak tę kwestię na boku. Chciałbym, abyś mi powiedział najszczerzej, jak wy sobie wyobrażacie rzecz równie niepojętą i niemożliwą jak Wniebowzięcie? Wprawdzie wszystko, w co wierzycie, jest nieprawdopodobne i nie do pojęcia. Wcielenie, Zmartwychwstanie, Wniebowstąpienie, Zesłanie Ducha Św... Tamten cykl jednak został ustalony przed dwoma tysiącami blisko lat. Przyjęliście go wraz z wiarą, wzrośliście w nim. Dla was nie podlega on dyskusji. Natomiast skoro dziś, papież, człowiek rozumny, ogłasza nowy dogmat, musicie chyba zastanawiać się, czy jest on wiarogodny? Mnie to Wniebowzięcie razi. Istnieją prawa przyrodzone decydujące nieubłaganie o rozkładzie ciała po śmierci. Wy zaś chcecie nam wmówić, że ciało z krwi i kości, uleciało do Nieba?! Starzy mistrzowie rozstrzygali to w sposób prosty: W dole na ziemi widniały pobożne figurki fundatorów obrazu czy kościoła, tłum Aniołów unosił Dziewicę, Chrystus wychylał się u góry płótna, wyciągając ręce ku niesionej... Bardzo pięknie. To są symbole. Nigdy nie uwierzę, żeby to był fakt. Nie wysuwam zastrzeżeń, skoro mi mówią, że duch uczynił to, lub tamto. Duch jest duch, wymyka się z pod naszej obserwacji, podlega innym prawom i może tchnąć kędy chce. Ale tu chodzi o ciało, o ciało materialne! Jak to sobie wyobrażasz?!

— Żaden śmiertelny nie wyobrazi sobie tego, ani nie pojmie, — lecz ręczę ci, że nie pojmuję, by mogło stać się inaczej. Bez Wniebowzięcia odczuwałbym brak zasadniczego szczegółu w mej wierze, brak przytaknięcia i pokrzepienia zarazem. Rękojmi...

— Ciekawe stwierdzenie, lecz które mnie nie objaśnia...

— W najstarszych mitach, będących wyrazem przeczuć ludzkości, ciała herosów, bogów, lub półbogów, bywają z reguły porywane, unoszone w górę albo przepadają bez śladu. Nie podlegają rozkładowi. Ludzkość w ten sposób koiła żrącą ją sprzeczność, zachodzącą między ś w i a d o m o ś c i ą s k o ń c z o n o ś c i, a g ł o d e m n i e s k o ń c z o n o ś c i, o której tak pięknie pisze najdostojniejszy z polskich pisarzy minionego pięćdziesięciolecia, Artur Górski. Pismo św. ze swej strony powiada, że grób Mojżesza nie był nigdy odnaleziony, prorok Eliasz porwany został żywcem do Nieba na ognistym wozie. Znany jest fakt, że ciała wielu świętych nie ulegają zepsuciu...

—Prawdopodobnie, o ile są zabalsamowane, lub złożone w szczególnie suchym podziemiu? Katakumby w Palermo np. posiadają własności konserwujące...

— Znam katakumby w Palermo. Zwiedzałem również podziemia kościoła w Kaźmierzu nad Wisłą, gdzie zwłoki Ojców Kapucynów leżą od kilkuset lat niezepsute. Cóż za różnica między tymi zmumifikowanymi szczątkami, rozsypującymi się w proch za dotknięciem, a świeżością ciała Bernadetty wyglądającej jakgdyby wczoraj zasnęła! Skoro Świętym, ludziom wprawdzie nieskończenie lepszym od nas, lecz ostatecznie ludziom ułomnym i grzesznym, Bóg udziela podobnej łaski, cóż dopiero mówić o Marii? Ciało Matki jest jednym z Ciałem Syna. Caro Jesu, — caro Mariae, — mówi św. Augustyn, z tej samej chwalebnej materii utkane, w Synu zmartwychwstające, miałożby podlegać zgniliźnie i zepsuciu, które są karą za grzech? Maria nie znała grzechu, kara nie mogła Jej dotknąć. My wszyscy, acz skażeni tysiącem wad i występków, doczekamy się zmartwychwstania ciał. Czyż możliwe, by Niepokalana dzieliła z nami pokutną szatę prochu i pozornego zniszczenia? Wszakże była Łaski pełną? Pełnia Łaski nie zostawia miejsca na poniżenie śmierci i szpetność rozkładu. Maria jest błogosławioną między niewiasta-

UCISK I KŁAMSTWO

BILANS JEDNEGO UKŁADU

14 kwietnia 1950 r. Biskupi polscy, pod przemożnym naciskiem reżymu i sytuacji w której znalazł się Kościół w Polsce, podpisali znany już układ z reżymem, który w Rzymie określono jako „układ nieszczęsny". Od tego czasu „rząd" warszawski ani chwilę nie zaprzestał nacisków na Kościół w Polsce, wymuszając nawet przystąpienie Biskupów do t. zw. apelu pokojowego sztokholmskiego. Zaledwie ks Metropolita Warszawski położył, jako ostatni z biskupów, swój podpis pod tym apelem, a już „Trybuna Ludu" miotając się i grożąc pisała, że „rząd potrafi dopilnować na przyszłość lojalności kleru wobec nowego państwa polskiego". Zdobywszy dzięki układowi pewną pozycję, reżym nieubłaganie prowadził dalsze natarcie na inne. Pilnując by ściśle wykonane były zobowiązania przyjęte przez biskupów, niczego równocześnie nie dotrzymał ze swoich zobowiązań. Jeżeli chodzi o wychowanie młodzieży, to krok za krokiem wypierał i wypiera wpływy Kościoła w tej dziedzinie, która stanowi przecież o przyszłości narodu. Jeżeli chodzi o „Caritas", to konsekwentnie wypiera hierarchię i duchowieństwo z pozostałych pozycji w tej organizacji: została ona w całości upaństwowiona i oddana w ręce nielicznych księży „lojalnych" („traditores"). Jeżeli chodzi wreszcie o stolicę Apostolską, z którą Kościół w Polsce związany jest nierozerwalnymi węzłami, to ataki na Papieża i Watykan idą ze strony reżymu w całej pełni. Prasa rządowa pełna jest tych ataków.

Tak wyglądało położenie Kościoła w Polsce gdy w 5 miesięcy po owym układzie z 14. IV., biskupi polscy pod przewodem ks. Kardynała Sapiehy i ks. Metropolity Wyszyńskiego zebrali się na swoje jesienne obrady w Częstochowie.

WATYKAN A UKŁADY LOKALNE Z REŻYMEM

Stosunek Watykanu do umów lokalnych, zawieranych przez Episkopaty poszczególnych krajów z bolszewickimi organami władzy, został określony przez Watykan, przy okazji układu zawartego z rządem peszteńskim przez biskupów węgierskich. W trzech kolejnych wypowiedziach, z których żadna nie jest oficjalną, Stolica Apostolska dokładnie zaznacza wobec biskupów i wiernych swoje stanowisko.

Pierwszym najbardziej autentycznym wyrazem stanowiska Stolicy Św. było ogłoszenie w radio watykańskim komentarza do umowy węgierskiej. Zawierał on zupełne potępienie umowy w zdaniu, że „jedynie Stolica Apostolska ma prawo do zawierania umów regulujących stosunek między Kościołem a państwem". Drugim aktem był artykuł „Osservatore Romano" p. t. „Ucisk i kłamstwo"; jest on potwierdzeniem tego samego stanowiska. Układ węgierski jest tam nazwany „tym wychwalonym układem" — tekst stwierdza, że jego wartość należy ocenić w świetle zarządzenia, usuwającego zakonników z klasztorów. Wreszcie „Ossevatore Romano" przedrukował wywiad z anonimowym prałatem węgierskim, ogłoszony w Neue Zurich. Nachrichten". Jest to nieformalne coprawda, ale niewątpliwe potwierdzenie tezy tego prałata, że „modus vivendi z bolszewikami nie ma żadnego znaczenia, gdyż nie dotrzymują oni obietnic i nie dochowują umów".

Te trzy oświadczenia określają również obecne stanowisko Watykanu wobec umów zawartych z bolszewickimi organami władzy przez Episkopat polski. Wynika z nich przez analogię, że Watykan uważa je za niepożyteczne, gdyż nie dochowywane przez stronę reżymową, i za nieprawne, gdyż zawarte ze strony kościelnej przez niekompetentny organ.

„TRADITORES"

„Osservatore Romano" z 11 października poświęca dłuższy artykuł pod powyższym tytułem tym księżom, którzy idą z reżymami komunistycznymi za żelazną kurtyną. Pismo przypomina najpierw X. Boulier'a który, jak wiadomo, obecnie jest ekskomunikowany: on pierwszy głosił konieczność dostosowania się Kościoła do „rzeczywistości", stworzonej przez agentów Moskwy w krajach środkowej i wschodniej Europy. Za jego głosem poszła pewna ilość księży w krajach za żelazną kurtyną. Zjawisko to nie jest nowością dla Kościoła: nowością jest najwyżej to, że tych zdrajców jest mało. Dzieje Kościoła notują zjawisko tzw. „traditores" począwszy od najdawniejszych czasów: „traditores" — to termin techniczny dla tych chrześcijan, którzy oddawali (=tradere) cesarzom rzymskim święte księgi i naczynia i godzili się z powrotem składać im cześć boską. Pamiętamy wszyscy, że za czasów rewolucji francuskiej jedna trzecia kleru przysięgła na konstytucję, która była wyrazem schyzmy. Nic więc nowego, że na Węgrzech zjawił się teraz taki Balogh, taki Horwath, w Czechach taki Plojhar, którzy podporządkowali wiarę i religię antyreligijnemu socjalizmowi. Ludzie ci postawili się poza społecznością chrześcijańską a trudno przypuścić by zrobili to w dobrej wierze. Są naznaczeni i skazani przez samo Słowo, które zdradzili, a historia rodu ludzkiego to potwierdzi.

mi... Cóż mogło ją wyróżnić najwięcej spośród wszystkich kobiet świata, skoro pracowała jak one, cierpiała jak one, jeśli nie przejście bezpośrednie z życia ziemskiego do chwały?

Wiara we Wniebowzięcie żyje w Kościele od najpierwszych wieków i nigdy nie została umniejszona. Pytałeś, jak to sobie wyobrażam? Nie wyobrażam sobie i nie usiłuję wyobrazić. Św. Modesty, biskup jerozolimski z VI wieku, pisząc o Wniebowzięciu powiada, że odbyło się ono „w sposób jedynie Bogu wiadomy". (Ta zwięzła prostota wyróżnia świadectwo Świętego od apokryfów obfitujących w naiwne i przesadne szczegóły). „W sposób jedynie Bogu wiadomy"... Bóg rządzi prawami które ustanowił i może je uchylać lub zmieniać według Swojej woli. Momentu Zmartwychwstania Pańskiego również nikt nie widział. — „O n o c y, t y j e d n a z n a s z c z a s i g o d z i n ę, w k t ó r e j C h r y s t u s P a n z m a r t w y c h w s t a ł..." — śpiewa Kościół. Widok tego cudu nie był przeznaczony dla oczu ludzkich. Winniśmy wierzyć w zwycięstwo nad śmiercią, a gdybyśmy ujrzeli — zbędną stałaby się wiara. Raz tylko Niebo uchyliło wieka tajemnicy. Było to w chwili Przemienienia Pańskiego na górze Tabor, w obecności Piotra, Jakóba i Jana, gdy Oblicze Chrystusa rozjaśniło się jak słońce, a szaty Jego stały się świetne i białe niby śnieg, tak jak farbiarz na ziemi wybielić nie potrafi. Chrystus Pan nie porzucił wtedy ciała niby zbędnej szmaty, nie uleciał zeń duchem, ale je przeobraził, przemienił. Rozmawiał z ludźmi dawno nie żyjącymi, Mojżeszem i Eliaszem, czyli znajdował się w innym wymiarze, poza czasem i przestrzenią. Apostołowie widzieli to, choć nie pojmowali...

...rozumiesz teraz, jak ważnym jest dla katolików dogmat Wniebowzięcia? Każdym z nas targa ów bunt przeciw skończoności, czyli śmierci. Ufając w nieomylny osąd Kościoła, przyjmujemy z radością nowy dowód, że skończoność jest złudą, a rzeczywistością nieskończoność, która stanie się i naszym udziałem...

— Nie mogę odmówić logiki twoim wywodom, choć dla mnie, oczywiście, punkt wyjścia jest całkowicie nierealny. Wróćmy do strony technicznej: kilkakrotnie zaznaczyłeś, że wiara we Wniebowzięcie jest stara jak Kościół, teraz zaś nazywasz je „nowym dowodem"? I dlaczego ogłaszać dogmat, jeśli rzecz sama była oddawna bezspornie uznana? Co się przez to zmieni?

— Zewnętrznie nic się nie zmieni, zasadniczo bardzo wiele. Wbrew temu co mówią niechętni, Kościół zostawia swym wiernym szeroki margines dla subjektywnego podejścia do różnych spraw, dopóty jednak, dopóki nie wchodzi w grę dogmat. Wobec dogmatu subiektywizm milknie, przemawia objektywna Prawda Objawiona. Dogmaty to niewzruszalne fundamenta wiary.

— Gdzież ów „szeroki margines", skoro cała doktryna katolicka jest dogmatem?

— Bynajmniej. Pojęcia doktryny i dogmatu nie są równoznaczne. Tomizm np. jest doktryną, przyjętą przez Kościół, lecz nie jest dogmatem. Można być dobrym katolikiem nie będąc tomistą, ale przestaje się być katolikiem, zlekceważywszy którykolwiek dogmat. Każdorazowe ogłoszenie dogmatu, (następujące po wieloletnich pracach przygotowawczych i z natchnienia Ducha św.), sankcjonuje daną tradycję, a zarazem zabezpiecza ją przed subjektywnym pojmowaniem lub wypaczeniem. Opatrzność kierowała widomie Piusem IX-tym, gdy przed stu laty ogłosił dogmaty o Niepokalanem Poczęciu i o nieomylności papieża nauczającego ex-cathedra w sprawach wiary, nie zważając na burzę jaką to wywoła. W przewidywaniu prądów, niesionych przez modernizm, usunął najczcigodniejsze tradycje spod zasięgu subjektywnych ataków. Niby cenne klejnoty umieścił je w skarbcu Kościoła, powiadając: Tego nie dotkniecie! — Podobnie słusznie i sprawiedliwie postępuje Ojciec św. Pius XII, gdy dogmat Wniebowzięcia stanowiący wspaniałą apoteozę i pieczęć dogmatu o Zmartwychwstaniu Ciał, ogłasza teraz właśnie, kiedy napór rozpoczynającego się cyklu obyczajowo-historycznego idzie w kierunku zaprzeczenia praw indywidualnego człowieka, człowiek zaś składa się jednako z duszy i ciała.

...To też, jeżeli bracia nasi innego wyznania, nad których oddaleniem Kościół nie przestaje cierpieć, pragną rzeczywiście powrócić, — świeżo ogłoszony dogmat Wniebowzięcia nie powinien zdać się im kamieniem obrazy, lecz czekającą na progu Ojcowego domu najradośniejszą nowiną.

Zofia Kossak

OD REDAKCJI

W chwili, kiedy wychodzi ten numer ŻYCIA, dogmat jeszcze nie został ogłoszony.

W jednym z następnych numerów ukaże się opis tego uroczystego aktu pióra J. T. Milika.

EPILOG

(Pamięci Zenona Przesmyckiego — Miriama, w szóstą rocznicę jego śmierci w ruinach Warszawy)

OTO miasto umarłe szaleństw i popiołów,
strzaskanych okien
i nadziei. — Proch...
Nad jego królewskim szkieletem z lejami oczodołów
gaśnie baldachim pożarów, purpura ścieka rynsztokiem,
a rynną — ostatni szloch.
O, zatrzymajcie czas,
niech słońce się próżno nie pali!
Jaśniejsze są te zgliszcza rzucone zbrodni nawskroś.
Wyszedł Pan z krzyżem na ramionach
z Świętokrzyskiego kościoła, by skonać,
ale nie dotarł na Golgotę,
bo któżby przeszedł teraz
Jerozolimskie aleje.
Zwalił go pocisk niemiecki na bruk:
zwalił młodą dziewczynę potem:
biegła ku rannym, by czoła ich z krwi ocierać
i padła Mu z jękiem do nóg.

*

Polski patrol sanitarny brnął przez bezludne rumowiska, pochmurne jak historia, pokraczne jak sny, poprzez nazwy bez ulic, miasto bez nazwiska. Niósł pomoc i pokrzepienie, lekarstwo i wodę starcom wrosłym w kamienie, chorym, co iść dalej nie pragną czy nie mogą, matkom, które się śmierci przy dzieciach nie dopłakały, tym których dni przekwitłe i nieodwołalne modlitwy z miejscami tymi zbratane nazawsze.

Pobojowisko cegieł, które miłość niegdyś układała w domy, by rodziły się w nich i gasły pokolenia. Tu leży w katakumbach piwnic ćwierć miliona sierot miasta, którego zabrakło. Śmierć ich była dostojna, wytrwała i trudna: śmierć od powietrza, głodu i wojny, od kamieni, od ciemności, od krzyku! Tu zostaną. Samobójcy z miłości... do miasta.

Nad stolicą-cmentarzem korowód żałobnych obłoków; gdzieniegdzie na nich pożar jeszcze tli się: niebo jak miasto dogasa.

Któż policzy ofiary w tym Amfiteatrze, co ginęły buńczucznie, z urąganiem w oczach? Kto imiona ich przekaże na patronów wiernym? Przeklęci, co spać będą spokojnie po nocach!

Chłopcy zawadiaccy, rzuceni na pożarcie Dziejom, w oklaskach kul padający pod ciężarem przysiąg! Szliście ku wielkim... słowom, ku dniom, co za przepaściami—dnieją, ku złudom, co się spełniają i ku świętym ciszom.

Dziewczęta rozbiegane jak źrebaki w kurzawie pocisków, ginące na przekór rozpaczy i czczości z ustami pełnymi śpiewów i okrzyków, z sercami błękitnymi od nieba! Chimery barykad! Łączniczki pokoleń! Dziewice; matki wolności!

Wichry natchnienia, które tędy wiały, salwy zwięzłe masowych mordowań unoszą się męczeńskim wiankiem nad czerepami kamienic i gwiżdżą w oknodołach, i na fletach wystygłych kominów wyją Warszawiankę.

Patrol przebiega koło bramy, w której płacze pies. Tak, najwyraźniej płacze. Uchował się cudem — jeden z niewielu. On powiódł patrol na schody. W niezdarnym cieniu pod wieczornym niebem dostrzegli starca w meloniku jak ceglaną bryłę. O czym mógł dumać? Może i sam nie wie, może słucha kamieni, które przemówiły?

Spragnieni jesteście? — spytali po prostu.

— Tak. Samotności...

Słowa te potoczyły się niby w ruinach kamyki.

— Nie macie sił iść z nami?

— *Siła* to za małe słowo. Albo za wielkie...

Miriam był brudny, zarośnięty, nijaki jak gruzy. Siedem dni tu siedzi, opuszczony przez wszystkich. „Tu pogrzebano moją Chimerę" mówią jego spojrzenia, których nikt nie widzi.

Pozostawili mu chleb i butlę z wodą, i obiecali przyjść później z noszami. Znów był sam w ceglanym zmroku, bezradny i opuszczony jak ta trojańska ruina. Pies przybłęda, też pewnie filozof, patrzy mu w gasnące oczy.

Jak ciężko jest rozstawać się z niedomkniętym grobem.

Księżyc rudy wschodzi poprzez chmury, pokazując niebu swe wymarłe, skamieniałe miasta.

* * *

Pół-miliona pielgrzymów wygnano z tych zgliszczy na śmierć w obozach lub na poniewierkę. Poszli i ponieśli w zawiniątkach święte bakcyle wolności. Wydarto, wyłamano im z życia to miasto jak ręce, jak mowę, jak oczy, lecz póki serc, póki płuc nie wypruto kulami, miasto powstawało z oddechów, budziło ich jękami co nocy.

Z obozów odrutowanych cierniami i z więziennych dołów, z tułaczki bezdomnej przez świat, modlono się imieniem twym, Warszawo, wznioślejsza dziś od twych kościołów, bardziej bolesna i męczeńska niż Rzym.

Tyś pierwsza w pierś kamienną brała ciosy godnie, plan podboju ludzkości zgorzał jak twe niebo. Zdemaskowałaś pustkę, tchórzliwość i zbrodnię, drapujące się próżno w majestat Goethego. Pięć lat oporu, krwawszych niźli wieki płynęło Twemi ulicami wytrwale jak czas, hucznie, ogniście, burzliwie, jak żadnymi ulicami żadnych innych miast.

Burząc mur za murem, i ghetto i miasto, paląc książki i w gruzie grzebiąc ludność bez broni, załamuj dzisiaj ręce skarlały Tytusie*), że dałeś się zwycięstwu tych ruin przegonić. Bo znów te cegły złożymy miłością, znów ulice pobiegną jak dzieci ku Wiśle, a drzewa swe zielone pożary ku wiosnom pochylą, jak od wieków, cicho, uroczyście. Miasto poległo poto, żeby ożyć nowym, bujnym pomnikiem trudu i natchnienia.

A świat otrzymał słowo nowe,
chociaż znane.
Gdy zechce zatargać sumieniem,
dla ducha z ciał sypać szaniec,
samotności podołać, z własnym
uporać się cieniem:
Gdy zechce kwitnąć w pokoju,
u Prawdy klękać zdroju;
Krzyknie słowo czerwone i białe,
słowo dumne i bolesne jak sława,
słowo-stygmat, słowo krew i ciało:
„Warszawa!"

Zbigniew Zaniewicki

*) Zburzyciel Jerozolimy

ŚWIĘCI NA EKRANIE

W ZWIĄZKU z pokazaniem w Londynie filmu francuskiego reżysera Blistène pt. „Le sorcier du ciel" — dzieła o życiu św. Jana Chrzciciela Vianney, proboszcza z Ars — warto zwrócić uwagę na ciekawy artykuł Daniel-Ropsa, zamieszczony w ostatnim numerze „International Film Review" pt. *Impact of the Cinema on Spiritual Life*".

Autor francuski zaczyna od stwierdzenia faktu, że filmy religijne w rodzaju „Monsieur Vincent" Maurice'a Cloche, cieszą się dużą popularnością i wywierają poważny wpływ na publiczność. Pewna zakonnica, która wpadła na pomysł urządzenia w Paryżu kwesty na biednych wśród publiczności opuszczającej kino po obejrzeniu wspomnianego filmu, zwierzyła się autorowi, że zebrała znaczną sumę pieniędzy.

Ta moda na filmy religijne stwarza jednak problem czy i w jakim stopniu najgłębsze przeżycia duchowe mogą być pokazane na taśmie filmowej w taki sposób, aby wywołać wśród widzów właściwy, prawdziwy oddźwięk? Powstaje także pytanie czy producenci filmowi będą zdolni pojąć znaczenie i miejsce elementów religijnych w sztuce i w produkcji filmowej?

Analizując pokrótce jeden z najbardziej sensacyjnych filmów „religijnych" ostatnich czasów, „Fabiolę", (na podstawie powieści Kard. Wiseman'a), Daniel-Rops dochodzi do konkluzji, że zdradza on absolutną nieznajomość ze strony producentów istoty męczeństwa, jako sakramentu jednoczącego męczennika z Ukrzyżowanym. Film wywołuje w psychice widza pewne powierzchowne przeżycia duchowe, raczej uczuciowe, ale są to jedynie strzępy tego, co można byłoby pokazać, gdyby nie ubóstwo duchowe ludzi porywających się na autentyczne i głębokie tematy chrześcijaństwa.

Do innego rodzaju należy amerykański film o Joannie d'Arc (z Ingrid Bergman w roli tytułowej). Tu nie mamy irytujących zgrzytów, od których roi się „*Fabiola*". Na szczęście użyto stosunkowo prostych środków artystycznych, a postać Joanny nie budzi wątpliwości z punktu widzenia poprawnej psychologii. Czy jest wystarczające? — zapytuje autor francuski i odpowiada: nie. Dla katolika istotą życia św. Joanny jest mistyczne obcowanie twarzą w twarz z Bogiem najsubtelniejsza wspólnota, którą w pełni pojąć mogą aniołowie. Tego nie zdołano pokazać na filmie. Joanna, którą tu oglądamy, jest doskonałą patriotką francuską. Ale gdzie jest Święta? Widzimy ją tylko w jednym — i zdaniem Daniel-Ropsa kontrowersyjnym — momencie Komunii Św. przed śmiercią. Ta wada filmu jest zasadnicza: wynika z niedostatecznego zrozumienia tytułowej postaci przez reżysera, który zresztą nie zamierzał widocznie pokazać widzowi duszy Świętej. W rezultacie „Joanna d'Arc" w interpretacji Ingrid Bergman jest dobrym filmem (choć nie arcydziełem), ale dostarcza istotnych przeżyć duchowych tylko tym widzom, którzy są w stanie wnieść do niego coś ze swej własnej treści wewnętrznej.

I tu dochodzi Daniel-Rops do podstawowej kwestii: w jakim stopniu sztuka filmowa, operująca obrazami ruchomymi i słowem — z konieczności zrozumiałymi dla szerokiej publiczności — jest w stanie wyrazić istotę przeżycia duchowego? Trudność osiągnięcia tego celu ilustrują w sposób pouczający filmy „*Le sorcier du ciel*" i „*Cielo sulla Palude*" włoskiego reżysera Geniny.

Twórcy obu tych dzieł z pewnością rozumieli pokazane tam problemy. Czy zdołali je oddać językiem filmowym? Odpowiedź Daniela-Ropsa jest raczej negatywna. Film o Marii Goretti, młodziutkiej bohaterskiej świętej, nie przeszkadza nam w odczuciu jej anielskiej świętości. Ale też nie wiele więcej. Tu i ówdzie reżyserowi udało się pokazać niewysłowiony, dziewiczy zapach czystości, ofiary i miłości. Ale — pisze autor francuski — po przeczytaniu aktów procesu beatyfikacyjnego, i wmyśleniu się w szczegóły tego świętego życia, musi przyjść wniosek, że tu kino było raczej przeszkodą, a nie pomocą w zakomunikowaniu prawdy. Z tej przyczyny wielu widzów nie może pojąć prawdziwej przyczyny poświęcenia życia przez Marię. Jeden z największych problemów chrześcijańskich: grzech i odmowa popełnienia go — wcielił się w krótkie życie włoskiej wieśniaczki. Byłoby przesadą twierdzić, że — dobry zresztą — film Geniny zdołał pokazać problem szerokiej publiczności. Można tu dodać, czego Daniel-Rops nie czyni, że Matka świętej Assunta Goretti po zobaczeniu tego filmu oświadczyła pytającym, że ani przez chwilę nie „odczuła" w nim swej córki.

Podobnie jest z filmem „*Le sorcier du ciel*". Gra Georges'a Rollina jest wspaniała, aktor wciela się w swoją rolę i przeżywa ją naprawdę. Celem reżysera (który osobiście wydaje się być agnostykiem) było doprowadzenie widza do konkluzji, że odpowiedzią na wszystkie problemy jest Bóg. Nie ma także wątpliwości, że film w sposób bardzo silny rysuje wnętrze księdza, pełne miłości bliźniego. Czy mimo to po obejrzeniu filmu możemy być pewni, że uchwyciliśmy istotę życia? Czy pokazano nam w sposób przekonujący, że jego motorem była nadprzyrodzona Miłość? Daniel-Rops odpowiada na to pytanie przecząco. Owszem, Bóg jest obecny w filmie, ale nie jako Alfa i Omega wszystkiego, nawet nie jako Siła poruszająca cały mechanizm dramatu.

Czemu należy to przypisać? — zapytuje autor. Prawdopodobnie samym zasadom rządzącym wspaniałą, ale zawodną sztuką nowoczesnej kinematografii. Z samej natury sztuka ta zajmuje się czysto ludzkimi i doczesnymi sprawami. Film dosięga nas właśnie przez ludzkość — marną i szlachetną na przemian. Jeśli nawet od czasu do czasu wyraz twarzy aktora (jak nprz. Pierre Fresnay'a w „Monsieur Vincent") daje nam przelotne wrażenie Niewysłowionego — to jest to przeżycie z dziedziny raczej zmysłowej, a nie czysto duchowej. Czy pojęcie Bóstwa — pozbawione wszelkiej obrazowości, jak mówi o tym wielki mistyk, błogosławiony Henryk Suso, da się wyrazić środkami artystycznymi sztuki, która z natury swojej posługuje się ekspresją obrazów?

Jak literatura nie jest nigdy w stanie opisać Boga, a tylko może ofiarować Go czytelnikowi w postaci milczenia i niewyrażalnej kontemplacji — tak samo film, z natury samej, nie może spełnić tego niewykonalnego zadania.

Sumując swe ciekawe wywody, Daniel-Rops dochodzi do konkluzji, że sztuka filmowa może odegrać poważną rolę w dziedzinie apologetyki. Na polu teologii film jest bezsilny.

Rzecz ciekawa, że przeczytane przeze mnie recenzje krytyków katolickich, a zwłaszcza anglikańskich o filmie „*Le sorcier du ciel*" potwierdzają w stu procentach analizę tego dzieła, dokonaną przez Daniela-Ropsa. Recenzenci protestanccy nie zrozumieli problemu filmu, a inteligentniejsi krytycy katoliccy (patrz „Tne Tablet") musieli przyznać, że film jest słaby. To przekonało mnie, że szkic Ropsa, wyznaczający granice sztuki filmowej w dziedzinie przeżycia wewnętrznego, jest cennym przyczynkiem do badań na temat możliwości i zasięgu kina.

St. Pal.

AUGUSTYN STEFFEN

SKĄD POCHODZI NAZWA „GDAŃSK"

W ZWIĄZKU z odzyskaniem około 200 miast ożywiły się w Polsce badania nad pochodzeniem ich nazw. Część nazw tych obiektów oczywiście była dawno wyjaśniona, część wyjaśniono po wojnie, reszta na wyjaśnienie czeka. W wydawnictwach powojennych widzimy prace o nazwach Szczecina i Wolina, o nazwie zaś Gdańska wszędzie głucho. Przyczyna nie tkwi w tym, żeśmy to miasto w gruzach otrzymali. Nie: wartość nazwy nie maleje, gdy zmniejsza się wartość obiektu, z którym ona jest związana. Kiedyś o nazwie Gdańska pisano nawet wiele, lecz później przestano pisać. Ludzie się pomęczyli.

W XVI wieku Kromer wyjaśniał naszą nazwę bajeczką, która nad ujście Wisły sprowadziła jeńców duńskich i kazała ich osiedle przezwać Danzig według nazwy ich ojczyzny Danii. Kromer był mądrym człowiekiem, nie wierzył w to, co napisał, lecz nie protestował, gdy inni wierzyli. Podobnie bajeczką wyjaśniał ją gdański dziejopis Kasper Schütz, bajeczką, która „zabiła" okrutnego księcia Hagla w czasie zabawy tanecznej. Tańczono aż wytańczono nazwę Gdańska. Wprowadza ją autor z niemieckiego wyrazu , tanzen „tańczyć" sądząc, że jest pochodzenia niemieckiego. Byli w Polsce mądrale, co nazwisko naszego astronoma piernikiem toruńskim wyjaśniali (Kopernik=kup piernik!) a nazwę Gdańska podobnym zrostem k'Danii — (ku Danii). W.J. Jacobson udowadniał w pocie czoła prasłowiański charakter miasta i jego nazwy „prasłowiańską" kaszubską nazwą dla „morza" dana (ku dani), nie zdając sobie sprawy, że udowadnia wyrazem pochodzenia germańskiego.

Według K. Stuhla postać Danzig jest skrótem nazwy Godanzig, co w języku starogermańskim rzekomo oznaczało „miejsce zebrań". Lohmeyer wyprowadzał ją z polskiego dań, danina i uzasadniał denominację mostu gdańskiego Pons danensis („most daniniczy"), występującą tam w źródłach XIII w. Później zarzucił tę koncepcję i stworzył nową, wywodzącą nazwę Gdańska od pnia God—, który występuje w słowiańskich imionach Godzisław, Godzimir itp. W. Kętrzyński wyprowadzał z wyrazu Gdania, domniemanej nazwy rzeki, która płynąć miała tym samym korytem, co dzisiejsza Radunia, Pawłowski z łotewskiego wyrazu danske, co tam „moczary" i „bagniska" oznacza, Nadrowski ze scytyjskiego wyrazu don, nazwy dla „wody" czy „rzeki", A. Grot Czekalski z pnia Gd— czy Gid — zaginionej starosłowiańskiej nazwy dla „wody" i „rzeki", ks. Czaplewski z wyrazu woda w ustach kaszubskich (goda?).

Już w XVII w. wytworzył się w niemiecko - gdańskich środowiskach naukowy pogląd, że nazwa Gdańska ma ścisły związek z nazwą Gotów, ludności germańskiej, która, jak głosi podanie, spłynąć miała około narodzenia Chrystusa ze Skandynawii nad ujście Wisły. Nieśmiały początek zrobił w XVI wieku Konrad Celtes, a w sto lat po jego śmierci pisarz niemiecki Klüver już całkiem odważnie wyprowadzał naszą nazwę z wyrazu Codanus, nazwy Bałtyku geografa rzymskiego z I w po Chr., Pomponiusza Meli, w której badacze widzą nazwę Gotów podania, oprócz F. Lorentza, który zgłosił swoje zastrzeżenie. Curücke zaś i burmistrz gdański Hartknoch (w. XVII) wiązali ją z nazwą Gotiscanzia, którą Goci podania przezwać mieli miejsce, gdzie zostali wysadzeni na brzeg. Tę nazwę Gotiscanzia Voigt potem objaśniał jako „twierdzenie Gotów (Gothorum castellum)". Kossina, Łęgowski, Much i Perwolff widzą w nazwie Gdańska derywat nazwy ludnościowej Gotones, którą Tacyt zlokalizował nad ujściem Wisły, nazwy Gotów germańskich według powszechnej wiary śmiertelnych.

Na właściwe tory poprowadził dyskusję A. Brückner, który wyraził pogląd, że nazwa Gdańska może pochodzić od staropruskiego wyrazu gude „krzak, zarośle". Brückner był genialnym etymologiem, ale lubił stawać w połowie drogi. Niektóre jego etymologie czynią wrażenie niewykończonych. To dotyczy także jego etymologii nazwy Gdańska. Brückner rzucił pomysł i uciekł.

Według niego nazwa Gdańska miałaby pochodzić od właściwości terenu, co jest nieporozumieniem, gdyż wszystko przemawia za tym, że od tego samego pnia gud—, który tkwi w wyrazie gude — „krzak, zarośle", urobiona była staropruska nazwa dla Polaków. Brzmiała ona, sądząc według śladów, jakie zostawiła w toponomastyce, i jej odpowiednika litewskiego, Gudai. Litwini wschodniopruscy, w których rozpłynął się częściowo żywioł staropruski, jeszcze za pamięci ludzkiej nazywali Gudami (Gudai!) polskich flisaków, spławiających drzewo na Pregole, z którymi się stykali. Że starzy Prusowie nazywali Polaków Gudami, dowodzi także warmijski wyraz gudak, nazwa pewnej monety. Chodzi tu o srebrny grosz, bity w dawnej Polsce, który starzy Prusowie nazywać musieli gudas „polski" dla odróżnienia od takiegoż grosza niemieckiego, bitego w Berlinie i zwanego na pograniczu Prus Wschodnich berlinką, lub dobrym według przekładu jego niemieckiej nazwy guter Groschen, oraz dla odróżnienia grosza miejscowego, warmijskiego, który był monetą zdawkową. Z polskiej monety nazwa Gudak przerzuciła się potem na 25-fenigową monetę niemiecką, odpowiadającą wartością swoją historycznemu polskiemu groszowi srebrnemu, która została wycofana z obiegu pod koniec pierwszej wojny światowej dla jej dużej domieszki miedzi, poszukiwanej wtedy w niemieckim przemyśle wojennym. Nie jest to odsobniony przykład wiązania się nazwy ludnościowej z monetą: takiego samego pochodzenia jest nazwa czeski dla austriackiego trojaka (20 groszy?), zwanego przez Niemców Böbmer.

Oprócz prostej postaci Gudai, była w użyciu postać Gudanai, rozszerzona partykułą sufiksalną —an— (por. Rug-i i Ruj-an-i). Osadziła się ona w folklorze warmińskim, w czterowierszowej zwrotce pieśni ludowej, która wygląda na przekład pieśni staropruskiej, gdyż posiada aż cztery prutenizmy w jednym wierszu. Mowa tam jest o Gaudunach (Gauduni), którzy „zabili" baudunów, gunitów i dunitów, co wskazuje na wojenny charakter pieśni. Rdzenne -au- pochodzi z dyftongizacji etymologicznego -u- a sufiksalne -un- jest alternacją -an-. Oba te zjawiska są charakterystyczne dla języków bałtyckich.

Postać Gudanai tkwi ponadto w nazwie Pogusania z jej odmianami, których jest cała gromada (co do przejścia -dw-s-, które Gerullis tłumaczy interwencją języka niemieckiego, por. jej nazwę przymiotnikową terra Pagudinensis (z XV w.). To Po- jest staropruskim przyimkiem, odpowiednikiem naszego Pod- w nazwie Podlasie (dawniej: Podlasze). Obie nazwy zbudowane są w jednaki sposób: pierwsza wychodzi z pojęcia „kraj przy Gudach czyli Polakach", druga „kraj przy Lachu" (ob. Brückner), co na to samo wychodzi. Słowa „campus", quem primo Poloni possidebant" w źródle z XIV w., tłumaczące nazwę Gunlauken (Gude- czy Gunde- „Polacy" plus laux „pole"), partykularną nazwę obszaru Pogusania, dowodzą, że jeszcze w XIV w. żywe było poczucie pochodzenia tych nazw.

Z tej rozszerzonej postaci Gudanai wyszła też nazwa Gdańska. Z historycznych jej postaci wymienię trzy bardziej charakterystyczne: najstarszą Gyddanyzc z X w., Gadansin z XII w. (na mapie Idrisi'ego) i późniejszą Gedanum. Forma Gedanum nie jest zlatynizowaną postacią formy Gyddanyzc, gdyż ta forma wymagałaby postaci Gidaniscum. Jest to derywat nazwy Gudunai, nazwy ludności. Od jej zlatynizowanej postaci Gudani pochodzi wreszcie wspomniana Codanus, nazwa Bałtyku Pomponiusza Meli. Ludziska stale prawią o sinus Codanus, jak gdyby ona była nazwą przymiotnikową. Przeczą temu źródła. Odnośne miejsce u Pomponiusza Meli brzmi: „Codanus ingens sinus" (III, 3, 31) a u Pliniusza (Nat. hist. IV, 13) „sinus, qui vocatur Codanus". Wyraz „sinus", łacińska nazwa dla „zatoki", nie jest częścią składową naszej nazwy. Gdyby to była nazwa przymiotnikowa, miałaby postać sinus Codanicus, według mare Balticum i mare Scythicum, innych nazw Bałtyku. Mamy tutaj do czynienia z personifikującą nazwą, nazwą typu Oceanus, Atlas itp., nazwą sztuczną (najlepszy dowód, że się nie utrzymała). Sztuka personifikowania obiektów geograficznych wyszła od Greków. Naśladowali ich potem Rzymianie, jak m. in. widać z następującego miejsca Owidiusza (Met. I, 580), personifikującego rzekę bursztynową Eridanus i inne:

Conveniunt illuc popularia flumina primum,
Nescia, gratentur consolenturne parentem,
Populifer Sperchios et inrequietus Enipeus
Eridanusque senex lenisque Amphrysos et Aeas,
Moxque amnes alii, qui, qua tulit impetus illos,
In mare deducunt fessas erroribus undas.

Na mapie Ptolomeusza występuje nazwa Svevus (tak ją transliterują średniowieczni) dla pewnej rzeki w Germanii. Ptolomeusz, nie znając widocznie jej właściwej nazwy, przezwał ją „Szwabem" (w jęz. grec. i łac. nazwa dla rzeki jest rodzaju męskiego). W taki sam sposób tłumaczy się nazwa Codanus: Mela Pomponiusz przezwał Bałtyk „Polakiem", od sąsiedztwa tej ludności.

Jak widzimy, wszystkie nazwy (Pogusania, Codanus, Gyddanyzc, Gedanum) pochodzą ze wspólnego źródła. Źródłem tym jest staropruska nazwa Polaków Gudanai, która w języku łacińskim przybierała końcówkę -i (Gudani) a w języku greckim przypuszczalnie -es (Gudanes). Tkwi ona w nazwach Gutones Gotones Gytones Pliniusza, Tacyta i Ptolomeusza dla pewnego ludu, mieszkającego nad dolną Wisłą, który badacze najniesłuszniej identyfikują z Gotami germańskimi. Mamy tu do czynienia z Polakami, występującymi pod staropruską nazwą.

Ta staropruska nazwa Polaków jest wyrazem ciekawym. Jest to przekład naszej nazwy Polanie. Obie nazwy: staropruska i polska, wychodzą z jednego pojęcia znaczeniowego, mają tę samą etymologię. Nazwa Polak, jak wiadomo, pochodzi od wyrazu pole i według tego oznacza „człowieka związanego z polem" czyli „rolnika". Oprócz rzeczownika Polak, mamy przymiotnik polski, urobiony, podobnie jak tamten, wprost od wyrazu pole (ob. Brückner, Sł. Etym.). Polski to jeszcze w XVI wieku to samo, co polny, co pierwotnie znaczyło „dziki, dziko rosnący w polu". Podobnie ma się sprawa z nazwą staropruską. Formy przymiotnikowej zabytki nam nie przekazały, co oczywiście jest sprawą przypadku. Brzmiała ona, sądząc według litewskich wyrazów złożonych gudobele i gudkarklis, gudas i też znaczyła „dziki, dziko rosnący", gdyż gudobele (tj.: gudas „dziki" plus obuolis „jabłoń") to nie domowa, lecz „polna, dziko rosnąca jabłoń", a gudkarklis (tj.: gudas „dziki" plus karkłas „wierzbina"), to nie szlachetna, lecz „pospolita, dzika wierzbina". Tutaj też należy staropruski wyraz gude „krzak, zarośle", występujący m. in. w warmijskiej nazwie wsi Stawiguda (tj.: stabis „kamień" plus gude „krzak, zarośle"). Z przekładu tej nazwy pochodzi polska nazwa Zarośle, dziś partykularna nazwa obszaru wsi Stawiguda.

Reasumując, stwierdzić należy, że nazwa Gdańska wychodzi z pojęcia znaczeniowego „osada (miasto) Polaków". Sądzę, że pod moją etymologię podpisałby się autor „Kroniki Słowian" Helmold (XII wiek), który podaje, że nazwa Julina (Wineta), największej słowiańskiej osady handlowej, położonej nad ujściem Odry, znaczy „urbs Venetorum" — miasto Wenedów. Pozostałaby do wyjaśnienia jeszcze kwestia, dlaczego ustaliła się nazwa staropruska dla miasta polskiego, jakim był — Gdańsk. Ale o tym przy innej sposobności.

Augustyn Steffen

MARIA CZAPSKA

DIES IRAE *)

WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH wypadło we środę.

Około południa pokazało się słońce i obsuszyło błoto zalewające chodniki. Ciepły wietrzyk przyniósł zapach zwilgłych liści i rozproszył woń pogorzelisk. Tłumy wchodziły i wychodziły z kościołów bez szyb, świecących tu i ówdzie nagą cegłą.

„*Justorum animae in manu Dei sunt...*" powtarzali księża przy jarzących się ołtarzach: „Dusze sprawiedliwych są w ręce Bożej, a nie tknie się ich męka złego..."

Pod ścianami kościołów, w kruchtach i na skwerach - cmentarzach stały przekupki z koszami świeczek, stoczków, kwiatów i świerczyny.—

„... *visi sunt oculis insipientium mori, illi autem sunt in pace. Alleluja!*

W jednomyślnym porywie gotowała się podbita Warszawa na swoją pierwszą narodową manifestację: hołd poległym.

— Paniusia kupi! Będzie się paliło godzinkie a może więcej...

— Kwiatki, kwiatki doniczkowe! Niedrogo! Kwiatki na warszawskie mogiłki!

Niemieckie patrole rozpędzały niedozwolone targowiska; kobiety ostrzeżone wsiąkały w bramy, zapadały się w gruzy, aby zaraz po przejściu żandarmów pojawić się znów o kilkanaście kroków dalej i ogłaszać swój towar o jeden ton tylko niżej.

— So ein Vieh! (Bydło!) warczeli Niemcy.

„*Dies Irae, dies ille, solvet saeclum cum faville...*" (Dzień to gniewu, ów dzień, w którym świat stanie się popiołem...) śpiewali po kościołach.

— Ile pan szanowny życzy? Świeczki czy lampki?

— Gałązki świeże, pachnące! zachwalała piskliwie blada dziewczyna.

— Krzyżyki! Krzyżyki! wtórował gruby głos. — Krzyżyki dla polskich żołnierzy!

— Do wyboru, państwo szanowne! Do wyboru doniczki kwitnące!

Dies irae...

O zachodzie mgła wystąpiła z nagrzanej ziemi wypełniając zdruzgotane ulice wczesnym zmierzchem. Wtedy wszystkie groby zaczęły się kolejno zapalać: te pielęgnowane po skwerach i podwórzach i tamte, nawpół zadeptane, na skraju chodnika, znaczone krzyżem z dwuch patyków. Groby obrońców, bohaterów i groby bezimiennych przechodniów, bezdomnych dzieci.

Wszystkie.

Każda mogiłka miała swój stoczek, swój kwiat lub gałązkę. Tysiączne chwiejne płomyki czuwały tego wieczora na warszawskich grobach.

Zwycięzone, cuchnące trupem miasto, stwierdzało swoją niepodległość.

„Blödes Volk!" (Durny naród!)

Od skwerów-cmentarzy szła jasność na otaczające ruiny. Gałęzie drzew kładły na ciemne niebo wieńce ostatnich liści, zbielałych w blasku bijącym od ziemi. Światła pełzały wśród kamieni i kwiatów rzuconych na rumowiska, tu występowało nad osypiskiem złoto jakiejś ramy, ówdzie bielił się na urwanej ścianie marmurowy kominek przy którym ludzie kiedyś gwarzyli.

Potem światła zaczęły gasnąć jedne po drugich, stoczki dopalały się skwiercząc, miasto pustoszało.

Biła 7-ma.

Wtedy ostatnia kwadra księżyca w lisiej czapce wyjrzała pustymi oknami wypalonych kamienic, rzucając na ulice i podwórza, pełne szklanego miału, garście brylantów.

I tylko okute buty patroli w bojowych hełmach zgrzytały miarowo po kamieniach.

Maria Czapska.

*) Fragment większej całości.

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

Z DZIEJÓW UNIJ POLSKICH

UGODA HADZIACKA

Bunt Chmielnickiego nie był jego dziełem indywidualnym: był dziełem starszyzny kozackiej oraz części prawosławnej szlachty ruskiej, różnych Krzeczowskich, Wyhowskich, Wereszczaków, którzy bunt poparli. Oni to wykorzystali niezadowolenie wśród chłopów ruskich na tle nowej gospodarki magnackiej na Ukrainie i na tle prób unii religijnej. Rolę tych kierowniczych czynników wśród kozaczyzny można by porównać do roli, jaką „trzeci stan", mieszczaństwo, odegrało wobec rewolucji francuskiej — pociągając za sobą motłoch i z czasem tracąc nad nim kontrolę. W pierwszej połowie XVII w. kozacy czuli się częścią Rzeczpospolitej i oprócz innych „swobód", domagali się również odpowiedniego miejsca w życiu państwa. Kiedy jednak na elekcję Władysława IV przybyli posłowie kozaccy i zażądali na niej głosu, mieniąc się „członkami", Rzeczpospolitej, usłyszeli odpowiedź, że są wprawdzie członkami, *ale takimi jak paznogcie, które się co pewien czas przycina.*

Obok kozaków niezadowoloną była uboższa szlachta prawosławna, dawni klienci Ostrogskich, Zbaraskich, Wiśniowieckich, których panowie porzucili wiarę grecką, kiedy oni pozostali jej wiernymi. Gdyby te wielkie rody ruskie nie przeszły na katolicyzm, nigdy nie było by doszło do buntu na całej niemal Rusi i rozruch kozacki byłby pozostał sprawą lokalną Zaporoża. Dotąd rody te przewodziły masom ludności ruskiej i pod ich protekcją żyło prawosławie. Teraz faworyzowały one katolików, zakładały kościoły, lub protegowały unię. Bunt kozaków stworzył dla prawosławnej szlachty i związanego z nią duchowieństwa greckiego dogodne narzędzie dla obrony ich praw. Były to jednak koła bliskie polskości, przywiązane do ideału Rzeczpospolitej, obznajmione z łaciną i pogardzające Moskwą, które przez cały czas wojen Chmielnickiego naturalnie parły do *ugody z Polską.*

Ale ugody nie pragnęła masa kozacka, ci wszyscy, których wojny i rabunek żywiły. „Starszyzna" przez ugodę byłaby zrównana ze szlachtą, zaś syta dostatków i przywilejów stałaby się elementem osiadłym i spokojnym. Dla mas kozackich w najlepszym razie perspektywą była karna dyscyplina wojskowa na służbie Rzeczpospolitej, kiedy jej prawdziwym ideałem było życie na sposób tatarski, w wiecznych wyprawach rabunkowych, obojętne przeciw komu, nie zaś życie uregulowane, porządek.

Pomiędzy tymi dwoma kierunkami stał Chmielnicki. I on zasadniczo należał do obozu kozackich pułkowników, miał od Rzeczpospolitej ziemskie włości, a szablę podniósł przeciw niej przez „prywatkę". I on władał *łaciną* i może nawet pochodził ze szlachty, choć to wątpliwe. Długoletnia jednak niewola turecka sprawiła, że z kulturą polską był mniej związany, niż taccy Wyhowscy lub Tetera, szlachta osiadła i w urzędach, lub ci wojownicy kozaccy, którzy przeszli szkołę wojenną pod komendą polskich wodzów. Przytym wypadki wyniosły Chmielnickiego tak wysoko, że w ramach normalnego porządku Rzeczpospolitej nie było już dla niego miejsca. Więc chociaż nieraz skłaniał się do ugody i może szczery żywił sentyment do Jana Kazimierza, przecież na serio nigdy nie zdołał się z myślą o podporządkowaniu się Rzeczpospolitej pogodzić. Współcześni zbyt naiwnie porównywali go do Cromwella. Raczej przypominał on Wallensteina lub włoskich condotierów. Celem takich ludzi jest nienasycona żądza kariery, ale nie mają żadnych ideałów ani skrupułów, i służyć mogą każdemu panu. Tak Chmielnicki na przemian poddawał się to Polsce, to Turcji, to Moskwie, a najchętniej przyjaźnił się z Tatarami.

Los chciał, że na tle wydarzeń politycznych, Tatarzy stali się najżyczliwszymi sojusznikami Rzeczpospolitej, sami płacąc sobie okup tego sojuszu: jasyrem tysięcy i dziesiątków tysięcy chłopów ruskich. Ci byli bowiem główną ofiarą zwady pomiędzy Polską, a kozakami, przeklinający „Chmiela". Życząc mu w ludowej pieśni, żeby go „pierwsza kula nie minęła". Opuszczony przez Tatarów, poddał się Chmielnicki w r. 1654 Moskwie. Nie uczynił tego chętnie ani on, ani jego pułkownicy, zaś metropolita kijowski, zacny Sylwester Kossów, szlachcic z witebskiego, i duchowieństwo prawosławne Kijowa, witali Moskali ze łzami rozpaczy. Protekcja cara „syna Michałkowego", wnet jednak zbrzydła Chmielnickiemu i jego najbliższym powiernikom. W ostatnich chwilach przed śmiercią Chmielnickiego dojrzewała już w jego otoczeniu myśl pojednania z Polską.

Chmielnicki umarł 27 lipca 1657 roku, następcą jego został najlepszy i najwybitniejszy współpracownik, Jan Wyhowski. Wyhowski był szlachcicem o nieco mętnej przeszłości (ciążyła na nim z młodych lat „komendantka"), który do buntu przystąpił po Żółtych Wodach, gdzie się dostał do niewoli. Był obok Chmielnickiego główną postacią w obozie kozackim — i był zarazem głową całego klanu wśród starszyzny, skozaczonej szlachty oraz grawitujących ku kulturze polskiej pułkowników. Przy poparciu tych swoich stronników został „hetmanem na ten czas", kiedy młody Chmielnicki zrazu dobrowolnie zrezygnował z buławy. Zdaje się, że od samego początku dążeniem Wyhowskiego było zerwanie poddaństwa moskiewskiego oraz porozumienie z Polską. Działał jednak ostrożnie, paktując nie tylko z wysłannikiem Jana Kazimierza, Bieniewskim, ale i ze Szwedami oraz Tatarami, bezustannie przytem zapewniając Moskwę o swojej wierności. Jeżeli istnieje typ dyplomacji wschodniej, Wyhowski, wierny uczeń Chmielnickiego, był jej wzorem. Ze strony moskiewskiej był zrazu podejrzliwie badany, później zdołał jednak wszelkie podejrzenia rozproszyć i został przez cara w swym hetmańskie zatwierdzony. Poseł moskiewski Kikin ostrzegał go jednak przed Bieniewskim, strasząc go, że to „czarnoksiężnik i czarownik".

Zanim Wyhowski ostatecznie zdecydował się na zerwanie z Moskwą, przedtem sprzymierzył się z Tatarami i przy ich pomocy stłumił bunty, jakie wybuchły przeciw niemu— nie bez wiedzy Moskali — na Zadnieprzu. Wtedy dopiero zwrócił się przeciw Moskwie, jednocześnie zapraszając Polaków do rozmów, celem zawarcia ugody. W sierpniu 1658 r. przybyli do kwatery kozackiej w Hadziaczu jako posłowie polscy Bieniewski i Jewłoszewski i przyjęci zostali uroczyście, na publicznej audiencji, wobec całej starszyzny oraz „towarzystwa", czyli pospólstwa kozackiego. Do nich więc wszystkich odprawił Bieniewski swoje poselstwo w wymownych słowach, które zakończył następującym apelem: „Do was, zacne wojsko zaporoskie, słowa ojczyzny przynoszę: Jam was porodziła, nie Moskal, jam was wypielęgnowała, wyhodowała, wsławiła, ocknijcie się, a będziecie synami nieodrodnymi, a zjednoczywszy się do gromady, wyrugujcie nieprzyjaciół swoich i moich".

Po tym przemówieniu pytali pułkownicy pospólstwa, jak im się podoba mowa polskiego „komisarza", na co krzyknęli: „Harazd howoryt', z neba orator". Przystąpiono więc do rokowań, przyczem kozacy przedstawili zawczasu już zdaje się przygotowane „punkta" umowy, które posłowie polscy naogół przyjęli, ale które zatwierdzić miał sejm. Autorami ich, oprócz samego Wyhowskiego, byli Wereszczaka, Sulima i Jerzy Niemirzyc, wszyscy szlachcice ruscy, prawosławni i to ich autorstwo wyraźnie przebija z postanowień ugody hadziackiej, która była jakgdyby kartą praw *narodu ruskiego* (a nie tylko kozaków) i prawosławia w Rzeczpospolitej.

Sejm warszawski r. 1659, na który przybyła liczna delegacja kozacka z Teterą i Niemirzycem na czele, okazał niezwykłą wielkoduszność i zmysł polityczny, przyjmując niemal w całości propozycje kozackie. Nie były to byle jakie postanowienia. Konstytucją tego sejmu, przywrócone zostały na terenie całej Rzeczpospolitej dawne prawa „wiary greckiej", która została równouprawniona z „wiarą rzymską", metropolita zaś kijowski i biskupi prawosławni (władycy) zasiadać mieli w senacie. Jeszcze ważniejszą była zgoda, by trzy województwa ukraińskie: kijowskie, czernichowskie i bracławskie, stanowiły osobne terytorium, *księstwo ruskie,* z hetmanem ruskim, jako głównym urzędnikiem Rzeczpospolitej na czele, z własnymi pieczętarzami, marszałkiem i podskarbimi, „cum dignitate senatoria" i z innymi niższymi urzędami, na wzór koronnych. A to, „ponieważ hetman z wojskiem zaporoskim i województwa oderwane wszystkie insze postronnych narodów protekcje odrzuca, a dobrowolnie jako *wolni do wolnych, równi do równych i zacni do zacnych,* powracają". Akademia kijowska i druga akademia, która by w przyszłości powstała w *księstwie ruskim,* korzystać miały z tych samych praw, co akademia krakowska. Na obszarze tym nie miały przebywać wojska koronne ani litewskie, zaś wojsko ruskie składać się miało z 30.000 rejestrowych oraz 10.000 zaciężnych, przy boku samego hetmana. Dawniej, za Chmielnickiego, kozacy domagali się wyższego rejestru, ale Wyhowski jeszcze w pertraktacjach z Moskwą zabiegał o jego ograniczenie, „ażeby hultajom na przyszłość nie wolno było nazywać się kozakami". To ograniczenie najwięcej wywołało potem niezadowolenia wśród masy kozackiej, zwłaszcza wobec obawy przed powrotem poddaństwa, czym nie omieszkali straszyć przeciwnicy ugody.

Obok tych szerokich praw politycznych dla Rusi i kozaczyzny, jako całości, nie poskąpił sejm szczodrych nadań, odznaczeń i przywilejów dla starszyzny kozackiej. Wyhowski nie tylko został zatwierdzony jako hetman wojsk ruskich, ale został również wojewodą kijowskim, oraz otrzymał liczne nadania, a za nim otrzymali nadania „urodzeni" Daniel, Konstanty i Teodor Wyhowscy, „urodzony" Jerzy Chmielnicki (wraz z „klejnotem" szlachectwa polskiego), „urodzeni" Hrehory Hulanicki, Adam Mazepa i Paweł Tetera oraz „szlachetni" Sulimowie (ci ostatni z potwierdzeniem szlachectwa), zaś szlachectwo z nadaniami dostały rodziny pułkowników i essawułów kozackich, Leśniccy, Kowalewscy, Bohatyrowicze, Rudniccy, Mazarakowie, Czekałowscy, Feckowicze, Woytkiewicze, Słoniewscy i wiele innych, które wszystkie odtąd w poczet szlacheckich rodzin polskich i zmieszały się z nimi. Następny sejm z r. 1661 nadał szlachectwo 100 dalszym rodzinom kozackim.

Ugoda hadziacka, stwarzając równe prawa obok narodów polskiego i litewskiego, dla *narodu ruskiego,* słusznie nazywana była unią i porównywana z lubelską. Niestety pozostała ona tylko dokumentem, wkrótce obalona przez kozackie masy. Główni autorzy ugody, Wyhowscy i ich poplecznicy, pozostali jej wierni, wpływ ich jednak wśród kozaków zmalał, zwłaszcza na Zaporożu i wogóle na Zadnieprzu, gdzie silniej oddziaływały wpływy moskiewskie, i gdzie dawne tradycje siczowe, „zakonu" rycersy-rabusiów, przeważyły nad szerzej pojętym interesem całej Rusi. Dołączyły się do tego niezgody wśród dowódców kozackich i to w obliczu toczącej się wojny z Moskwą, którą Rzeczpospolita podjęła w obronie ugody hadziackiej. Wyhowski dzielnie stawał przeciw Moskalom, ale nie umiał być politycznym wodzem niesfornych kozaków, jak to umiał stary Chmielnicki i wolał zrzec się hetmaństwa. Otrzymał je Jerzy Chmielnicki, przy którym górę wzięły elementy niechętne ugodzie z Polską, i te z powrotem powiodły znaczną część kozaków pod „silną rękę" cara Aleksego. Wprawdzie pod Cudnowem w r. 1660 i odszczepieńcy kozacy i ich moskiewscy protektorzy ponieśli druzgocącą klęskę, pod wpływem której kozacy powrócili do ugody hadziackiej, kozaczyzna zaczęła się jednak wyraźnie rozkładać. Wszelki autorytet wśród niej zanikał i brak było zgody na jedną linię polityczną. Zarysowały się wyraźnie dwie orientacje, zwolenników Pol-

(Dokończenie obok)

„TABLET" O KSIĄŻCE GEN. BORA

Katolicki tygodnik „The Tablet" poświęcił książce gen. Bora-Komorowskiego pt. „The Secret Army" obszerną recenzję pióra T. Charles Edwardsa, którą zamieszczamy poniżej w dosłownym tłumaczeniu.

„Trzy typy czytelników zainteresuje ta książka. Jednych pociągnie opowieść o czystym bohaterstwie — fizycznym i duchowym. W roku 1939 Polska posiadała ludność 35-milionową, a jej przyrost naturalny przewyższał niemiecki. Ona jedna spośród narodów zawojowanych przez hitlerowców nie wydała zdrajcy. Jej siły zbrojne nie zaniechały walki. Armia polska we Francji liczyła blisko sto tysięcy żołnierzy z początkiem wiosny 1940 roku. Na Środkowym Wschodzie, w Libii, w Norwegii i na morzu Polska była reprezentowana w sposób efektywny. W bitwie o wielką Brytanię myśliwcy polscy wyróżnili się wśród tych niewielu, którym tak wielu zawdzięczało tak wiele; wreszcie w czasie skutecznej inwazji kontynentu wojska polskie odegrały bohaterską rolę w Normandii i pod Monte Cassino.

A jednak często się zapomina, że ten ważny wysiłek zbrojny posiadał jeszcze poważniejsze fundamenty w postaci Polskiego Państwa Podziemnego. To jest sprawa, która zainteresuje się drugi rodzaj czytelników książki „The Secret Army". Polskie Podziemie bowiem było fenomenem, który nie posiada dokładnego odpowiednika w historii nowoczesnej Europy. Wreszcie dla tych, którzy uważają historię za „mistrzynię życia", książka ta stanowi studium o najwyższej doniosłości.

Jeden z recenzentów określił autora jako „wysoce stronniczego świadka", jeśli chodzi o sposób omówienia zbrodni katyńskiej. W rzeczywistości nie chodzi o to, że generał Komorowski dał wiarę niemieckiej wersji o Katyniu, lecz o to, iż w świecie posiadanych dokumentów nie mógł uwierzyć wyjaśnieniom Rosjan, rozpoczynającym się od archeologii, a kończącym na Gestapo Himmlera. Takiej, być może nieroztropnej konkluzji nie można nazywać stronniczą. Ponadto, skoro incydent katyński spowodował natychmiast zerwanie stosunków między rządem polskim i Kremlem, co z kolei określiło okoliczność Powstania Warszawskiego — sprawa ta nie mogła być pominięta w książce.

Gdy armie rosyjskie zbliżały się do granic Polski, władze polskie stanęły w obliczu najtrudniejszego dylematu. Było jasnym, że Polacy chwycą za broń w każdym razie. Aby szanse takiego powstania były najlepsze, kierownictwo jego powinni byli objąć przywódcy narodu; w ten sposób można było uniknąć nieskoordynowanego i niezorganizowanego wybuchu. Apele radia rosyjskiego i odgłos dział rosyjskich postawiły przywódców w pozycji przymusowej, skoro nie chcieli pozwolić na wyzyskanie tej sytuacji przez stosunkowo słabą organizację P. P. R. Polityka, podobnie jak natura, nie znosi próżni: dopomaganie w stworzeniu pustki jest politycznym samobójstwem. Z dyplomatycznego punktu widzenia dopiero perspektywa czasu umożliwiła pełną ocenę siły Rosjan w tej grze. Wówczas jeszcze nie było jasne czy trefle są atutami, a pokazany w książce śmiały i niezachwiany wigor gry rosyjskiej stanowi ciekawy przyczynek dla każdego badacza dyplomacji rosyjskiej.

W okresie rozkwitu czasopisma „Edinburgh Review" liberalni Anglicy lepiej orientowali się w realiach polityki europejskiej niż w pierwszej połowie naszego stulecia. Podstawowa prawda dotycząca Polski brzmi, że dopóki stworzony przez Burke'go obraz Europy — jako wspólnoty cywilizacyjnej — miał uzasadnienie w faktach — Polska była zupełnie bezpieczna. Gdy w Petersburgu i Berlinie uformowało się to, co Acton określił jako „nowy typ państwa", wspólnota europejska została obalona, a Polska natychmiast uległa rozbiorom. W ostatecznym wyniku przygotowano — jak to podkreśla Acton — śmiertelne zagrożenie narodów anglosaskich.

„Nie należymy do tych, którzy mogą nie oburzać się na niesprawiedliwość, jeśli nie dopuszczają się jej nasi wrogowie, nie odczuwać współczucia dla nieszczęść publicznych, jeśli nie dotykają Afrykańczyków lub Hiszpanów. Zresztą interesy narodu polskiego, aczkolwiek ważne, odgrywają tylko podrzędną rolę w aktualnej dziś kwestii. Odbudowa niepodległości europejskiej jest celem i nadzieją każdego męża stanu. Może ona nastąpić tylko wtedy, gdy wrócimy do zdrowej i konsekwentnej zasady, a tego żaden myślący człowiek nie uzna za możliwe bez całkowitej odbudowy Polski jako państwa niepodległego".

Tak pisał „Edinburgh Review" w styczniu 1814 roku. Jest to wcale dobre streszczenie sytuacji na rok 1950. Ale tymczasem l'ordre régne à Varsovie."

(W powyższej recenzji p. Edwards zdradza dobrą znajomość ogólnych zasad polityki europejskiej. Jeśli chodzi jednak o szczegóły, to niestety nie przekracza poziomu powszechnej angielskiej nieświadomości.

Nazwanie konkluzji gen. Bora-Komorowskiego o sowieckim autorstwie mordów katyńskich „nieroztropną", stawia pod znakiem zapytania kompetencje p. Edwardsa w sprawach, w których — będąc katolikiem i publicystą — powinien się orientować.

A może jest to wina polskiej propagandy, która zdobyła się na wydanie poważnej książki dokumentarnej o Katyniu, ale w języku polskim — jakby trzeba było przekonywać w tej sprawie Polaków, a nie cudzoziemców.) **(Sp.)**

OD REDAKCJI:

Patrz również „Zapiski londyńskie" na str. 8 tego numeru.

Jak już to podawaliśmy książka gen. Bora dla polskich czytelników wyjdzie z końcem tego roku drukiem Veritas. Sądząc po wielkiej ilości recenzji angielskich napewno jej polskie wydanie spotka się z wielkim echem wśród czytających Polaków.

JANUSZ KOWALEWSKI

TESTAMENT (2)

SZKOŁA NIENAWIŚCI

NASTRÓJ liryczny szybko zresztą minął, zmyty gwałtownym prądem zdarzeń. Rudy jest w szkole, sławnym KUNZie im. Lenina. Albert dołączył go do grupy, złożonej przeważnie z komunistów państw bałtyckich. Opiekę nad nimi objął towarzysz Markowski, wysoki szczupły brunet o twarzy poczciwej i naiwnej na pierwszy rzut. Wrażenie poczciwości nasuwała górna szczęka, wysunięta naprzód jak u zajączka. Z czasem dopiero Rudy wypatrzył u niego chytrośći przezorną czujność, zaczajoną w lekko zmrużonych oczach. Nosił się pół wojskowo pół cywilnie: buty z brezentowymi cholewami, granatowe bryczesy, rubaszka wojskowa i czapka cywilna z daszkiem poddartym w górę. Był niewątpliwie gepistą, ale ani Rudego, ani nikogo z współuczniów nie przejmowało to ni zdziwieniem ni zgorszeniem. Nie mieli nic do ukrywania, GPU uważali za zbrojne ramię proletariatu światowego, za opiekuna i obrońcę wobec czyhających zewsząd dwójek okrążenia kapitalistycznego. Markowski kontrolował ich postępy, rozkład ich zajęć poza szkołą, przede wszystkim lekturę. Wypytywał o znajomości, porobione w Moskwie, o stosunki rodzinne w ich krajach. Z czasem każdy z wychowanków towarzysza Markowskiego podebrał sobie przewodniczkę po Moskwie z pośród grupy komsomołek, z którymi towarzysz Markowski zetknął swoich pupilów na jakiejś akademii ku jakiejś czci. Rudy przyszedł na tę akademię z Walą i Wala została — za zgodą Markowskiego — przewodniczką i opiekunką jego wolnych chwil.

Pierwsze pragnienie, jakiego doznał na widok Wali, gdy mu otwierała drzwi, ustąpiło teraz miejsce czystej przyjaźni. Rudy nie przypominał sobie, aby z kimś przed tym czuł się tak bardzo beztrosko, koleżeńsko, swobodnie, jak z Walą. Politycznie była trochę zielona, sądy miała nieraz dość śmieszne, ale Rudy nie szukał w niej przewodnika politycznego. Odpoczywał przy niej po patetycznych sloganach wykładów popołudniowych i po wymagających naprężenia ćwiczeniach porannych, które były normalnym nieomal wojskowym kursem przygotowawczym do walk ulicznych i polowych. Rudy — skłonny do marzycielstwa — widział się na barykadach na czele swych chłopców z Kleczewa. Siła wizji była tak wielka, że słyszał krzyk bitwy, słowa ,,Międzynarodówki", trzask strzałów, ból ran. Gdy wykonał rzut granatem z pozycji leżącej, prężył się cały, a usta się nienawistnie ścinały, jak by do prawdziwego wroga klasowego celował. Zdawał sobie sprawę, że tym wrogiem mógł być brat — burmistrz z Kleczewa. — No to co? Na złagodzenie nienawiści to nie wpływało. Przeciwnie: nienawidził tego ulizanego mydlarza, tego głupiego a zarozumiałego kołtuna, który był jego t. zw. ,,bratem".

Nienawiść — w jej atmosferze pławił się teraz jak w mocnym, burzącym krew zapachu narkotyku podniecającego. Nienawiść do ,,sprzedajnej bandy trockistowskich wyrzutków społecznych"; nienawiść do ,,dzikiego okrążenia kapitalistycznego, pragnącego w morzu krwi zatopić Związek Radziecki, ostoję pokoju i szczęścia mas pracujących całego świata": nienawiść do ,,faszystowskiej kliki krwawego kata Piłsudskiego, który marzy o tym, aby znowu poprowadzić niewolnicze bandy najemców kapitału na wolną ziemię radziecką". Gdy wygłaszał ćwiczebne przemówienia lub pisał agitacyjne ulotki-wypracowania, — nienawiść tryskała deszczem iskier z każdego jego słowa. Uświadamiał sobie, że ta nienawiść dla wroga klasowego jest koniecznym produktem wielkiej miłości dla skrzywdzonych i poniżonych całego świata. Im szybciej przeleje się tę nienawiść świadomość — klasową — w serca, i umysły proletariatu, tym prędzej buchnie płomieniem oczyszczenia rewolucja światowa, a bagnety potężnej Czerwonej Armii... W głowie się kręciło od tych wizji, jak od wiosny i wina.

KOBIETY I UPIORY

Był koniec kwietnia. Ciepła noc moskiewska pachniała tęsknotą i socjalizmem. Rudy szedł z Walą szeroką wytworną ulicą, podobną do warszawskich Alei Ujazdowskich. Wracał z teatru. Wala opowiadała o szczęśliwym życiu aktorów i aktorek. Zarabiają ponad 20 nawet 40 tysięcy rubli miesięcznie. Państwo socjalistyczne popiera sztukę... Westchnęła. Rudy wyczuł fałszywy ton w jej pochwale państwa socjalistycznego. ,,Zazdrości aktorkom; kobiety wszędzie są jednakowe" — pomyślał.

Głośny brzęk przerwał ciszę wytwornej ulicy. Po schodkach ładnego pałacyku toczyła się wielka pokrywa, jakby tarcza, odbijając światła latarni ulicznej. Spadła na ostatni schodek i kolebała się z przewlekłym grzmotem, jak nad parującym kotłem. Drobny cień kobiecy podjął pokrywę, nakrył nią duży blaszany śmietnik, stojący na najwyższym schodku, potem podstawia się plecami pod śmietnik, wyciąga ręce do tyłu ponad głowę i usiłuje powstać razem z ciężarem, ale nie ma widocznie sił, bo siada na schodku i dyszy ciężko. Jej twarz, widoczna teraz lepiej w świetle, bijącym z za oszklonych drzwi pałacyku, jest ścięta zrezygnowanym bólem. Rudy wbiega za żelazne sztachety, powyginane w kształt szerokich liści i egzotycznych kwiatów.

— Pomogę. Dokąd chcecie to zanieść, towarzyszko?

Wskazała ręką jezdnię, gdzie stał samochód. Szofer pochylony nad motorem klął, przykręcając śrubę. Rudy postawił śmietnik na brzegu chodnika.

— To za ciężka dla kobiety praca — powiedział.

Szofer popatrzył chwilę i mruknął ze śmiechu:

— Równouprawnienie.

Kobieta odpowiadała na pytania Rudego i Wali drewnianym matowym głosem.

Jako sprzątaczka uliczna pracuje niedawno. Zarabia 150 rubli miesięcznie. Przed tym była ekspedientką w specjalnym sklepie dla pracowników umysłowych G. P. U. Było jej bardzo dobrze. Zarabiała 500 rubli. Ale z pracy ją zdjęli... Za co? Za to, że wzięli jej męża. A z nim napewno nieporozumienie. Pewnie ktoś donos napisał.

— Ale to się chyba wyjaśni, jak myślicie, towarzysze? — czepiała się wzrokiem ich twarzy. — Dziobatego Fedkę też wzięli i po roku puścili. Okazało się, że niewinny A mój jest partyjny i partyzant z wojny domowej.

— A jak partyzant to już święty? — powiedział szofer — młodziak o zuchwałych ślepiach — prostując plecy. — Mało to psów trockistowskich wśród dawnych partyzantów? Wzięli — znaczy wróg ludu. Niewinnych nie biorą, ciotko. Agitacji ulicznej nie prowadźcie. Jak do agitacji to mocna, a do roboty to jej nie ma.

Kobieta szarpnęła się i przyłożyła ręce do śmietnika. Rudy pomógł jej przesypać śmieci do ciężarówki.

— Nie upadajcie na duchu, towarzyszko —powiedziała Wala. A ty — zwróciła się do szofera — nie bądź chuligan i nie zwalaj całej pracy na kobietę. Niejeden taki fetniak jak ty chodzi po śniegu za chuligaństwo. Uważaj. — Powiedziała to groźnie. — Wy towarzyszko, niczego się nie bójcie. Nic złego nie mówiliście tutaj do nas. A poskarżcie się na tego byka w związku zawodowym, jeśli jeszcze raz każe wam samej śmietniki taszczyć.

Wala przytuliła się mocno do ramienia Rudego i pociągnęła go za sobą. Szli czas jakiś nic nie mówiąc.

— Więc jakto? Po roku puścili: ,,okazało się, że niewinny"? Faszystowski sąd polski by się nie ważył kaźnić niewinnego przez rok... A kobieta... Jakże można do takiej pracy, i to nocnej, posyłać takie chuchro?

— Są gorsze... Tysiąc razy gorsze roboty — powiedziała Wala. Płacz drgał w jej słowach. Zaczęła nagle mówić, wyrzucać zwierzenia, jak kawały skrzepłego bólu.

W Moskwie jest niedawno. Kola przywiózł ją tutaj z Uralu. Przed tym mieszkała w Charkowie. Jej pierwszy mąż — też partyjny i też Ukrainiec jak Kola — zastrzelił się. Dlaczego? Kazali mu nagle jechać do jakichś dzikich nacmenów — kołchozy im urządzać. Dla niej skierowania nie było. ,,Nie bój się, zaopiekują się tu nią chłopcy" — powiedzieli mu w gorkomie. Jednej nocy pisał długo i potem zastrzelił się z nagana. Całą głowę rozniosło. Z nią było potem bardzo źle. Nie chcieli dać pracy. Obciążali ją odpowiedzialnością za samobójstwo męża. ,,Partyjnemu nie wolno się zabijać. To dezercja z frontu budownictwa socjalistycznego. Radość dla wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Kontrrewolucja". — Tak jej wszędzie mówili. Wreszcie nie wytrzymała i powiedziała na komórce: ,,Przez was się zastrzelił, nie przeze mnie". Wtedy zesłali ją do kopalni miedzi na Ural. Nariadczyk ją wyprosił od roboty na dole. Dali jej przydział do windy wyciągowej. Na dole straszno. Kwasy żrą ciało. Młode kobiety po kilku tygodniach wyglądają jak staruchy. Twarze jak cytryny. Przyjechał Kola z papierami i zabrał ją do Moskwy. Kola był opiekunem, jakby ojcem jej pierwszego męża. Stary bolszewik — dlatego mógł ją wyciągnąć z tego piekła na Uralu. Ożenił się z nią, żeby ludziom gęby zatkać i swoim wielkim nazwiskiem zatuszować przestępstwo tamtego. Musiała się wycofać z roboty zawodowej — była starszą pielęgniarką — i społecznej, żeby na czas jakiś zejść ludziom z oczu. Tutaj nie tak łatwo zapominają o tym, co raz na człowieku ciążyło. Kola jest bardzo dobry, ale mąż z niego słaby. Chwilami bywa taki sam, jak tamten przed śmiercią: zatnie się, trawi widać coś w sobie, całymi dniami słowem się nie odezwie. W domu zresztą bywa rzadko — stale w rozjazdach na zebraniach, mitingach. Nieraz całymi tygodniami mieszka w biurach Kominternu.

— A jak tam, w krajach kapitału, żyją kobiety? — zakończyła nieoczekiwanym pytaniem.

— No cóż, jak to kobiety... — Rudy nie wiedział o co jej chodzi; wstyd mu było przyznać, że kobiet właściwie nie zdążył poznać dotychczas w życiu. Co innego było mu w głowie. Nawet z trudem uświadamiał sobie, że może istnieć odrębne zagadnienie społeczne: kobieta.

— Czy to prawda, że żyją w niewoli u mężczyzn, że sprzedają się bogaczom — pytała. — A czy jest naprzykład tak, że za przewinienia męża odpowiada żona?

— Nie, tego nie ma — śmiał się Rudy, — skądże.

— I może robić, co się jej podoba? Wybrać sobię pracę, jaką zechce?

— Los kobiety proletariuszki nie jest ani lepszy ani gorszy od losu robotnika, ale dola obojga w ustroju kapitalistycznym jest ogromnie ciężka. Dlatego i mężczyźni i kobiety walczą ramię w ramię o lepszą wspólną dolę. Razem strajkują, razem demonstrują,

Zagadani weszli w ciemną ustroń, pokrytą krzewami, górami odpadków, parujących i wydzielających odór zgnilizny, głębokimi cieniami jam wydłubanych w ziemi. W tym gnojowisku, przytulona do parującego śmiecia mrowiła się — nędza ludzka. Księżyc oświetlał twarze upiornie blade, łachmany, strzępy papieru, które służyły za posłanie i nakrycia. Jedni spali skuleni, jedni grzebali w śmieciach. Wala pociągnęła go i zawróciła gwałtownie, przyśpieszyła kroku.

— Co to było?

— To Bezdomni — tłumaczyła Wala, — Przyjeżdżają do Moskwy z mniejszych miast i kołchozów bez zezwolenia... Myślą, że tu odrazu dostaną pracę i mieszkania. Trudno, nie można dla wszystkich zbudować odrazu... — dodała tonem urzędowej apologetki, ale Rudy wiedział już, że mówi bez przekonania. Sam zaczął usprawiedliwiać władzę sowiecką, która przecież wobec ogromu tak rozlicznych potrzeb i celów jak cele rewolucji światowej... Wala milczała.

„WSTYD SIĘ NIE PRZYZNAĆ"

Aby dać pojęcie, jak wygląda prawdziwa samokrytyka bolszewicka, towarzysz Markowski zaprowadził swą grupę na miting związku zawodowego fabryki przetworów mięsnych im. Stalina. W natłoczonej sali wybierano komitet związku. Kandydaci stali na podium jak pod pręgierzem, a z masy występował mówca po mówcy i opowiadał wszystko, co o nich wie. Ile razy który się spóźnił do fabryki, ile razy był pijany, ile razy normy nie wyrobił, jak wygląda jego pożycie domowe, czy ma nieślubne dzieci. Potem kandydaci odpowiadali krytykom, ale nie bronili się, nie przytaczali okoliczności łagodzących. Przeciwnie — dodawali czernidła do swoich żółcią przeważnie kreślonych portretów, niezmiennym kończąc refrenem: ,,Nie wstyd popełnić błąd, — wstyd się nie przyznać".

Zmiennymi uczuciami napełniało Rudego to widowisko. Doceniał znaczenie samokrytyki jako środka wychowawczego, ale w partii polskiej inaczej to wyglądało Samokrytyka poprzedzona była bądź co bądź walką o swe zdanie. Tak naprzykład Tomasz przeszło rok się użerał z łącznikami komitetu centralnego w obronie swej tezy — istotnie heretyckiej, godzącej w podstawy marksizmu — że nie proletariat ale inteligencja jest hegemonem rewolucji i budownictwa porewolucyjnego. Ustąpił, ale po jakiej walce, po ilu całonocnych nieraz dyskusjach. A tutaj... Było coś dziwnego w atmosferze tej sali. Nie umiał tego wrażenia nazwać.

— Rudy, stary byku, nie odwracaj się i nic nie odpowiadaj — usłyszał jakiś polski szept tuż nad uchem, poczuł ciepły oddech na skroni. — To ja, Pietrek z Mokotowa. Nie odwracaj się! Przyjdę jutro o szóstej. Koli, wiem, nie będzie, Wali też. Nikt nie ma prawa wiedzieć... — Szept się urwał.

To był naprawdę Pietrek. Jego porzekadło: ,,stary byku". Dwa lata temu po awanturach strajkowych w związku budowlanych zniknął Rudemu z oczu. ,,Pietrkizmem" nazywano w partii jego bojowy, partyzancki styl roboty i teorię, głoszącą, że tylko krwawe wystąpienia mogą poderwać proletariat i zapalić płomień rewolucji. ,,To świetnie — myślał Rudy — przez Pietrka dostanę się do Leńskiego albo Standego. Wszystko im wygarnę". Obudziła się nadzieja, z którą jechał tu do Moskwy. Ani Albert, ani Markowski, ani Kola nie chcieli mu dać kontaktu z Leńskim, zbywając go tłumaczeniem, że wszyscy z K. C. są pochłonięci przygotowaniami do sierpniowego, siódmego, kongresu Kominternu. Pietrek go skontaktuje. Jest tu pewnie wielką figurą. Ale dlaczego zagadnął go tak tajemniczo? A może to było złudzenie?

Rudy przyglądał się bacznie ludziom dookoła. Zmęczone, szare twarze, pochylone robotą plecy, oczy które uciekały, nie patrzały w inne oczy. W tych oczach był strach. To było właśnie to, czego Rudy nie umiał dotychczas nazwać. Strach był też w gorączkowym szepcie Pietrkowym.

(Dokończenie nastąpi)

Janusz Kowalewski

---

ski i zwolenników Moskwy, do której z czasem doszła trzecia orientacja, turecka. Przy tej anarchii na Ukrainie pogrzebane zostały główne postanowienia ugody hadziackiej o ,,księstwie ruskim", na życzenie dołów kozackich, które je uznały za ,,przeciwne swobodom kozackim". Zabrakło kozakom wytrwałości na obranej drodze i karności, zabrakło zmysłu politycznego, a ich siły się rozprzęgły. Po entuzjaźmie r. 1659 przyszło więc zniechęcenie w Polsce. Wojna z Moskwą była zwycięska, ale wyczerpująca, a na Zadnieprzu wojska Czarnieckiego walczyć musiały nie tylko z Moskalami, ale i z kozakami. *Dojrzewał kompromis andruszowski, jako podstawa polityki polskiej na wschodzie.*

Tadeusz Piszczkowski

Z HISZPANII

KOMITET NARODÓW UCIŚNIONYCH PRZEZ KOMUNIZM

DWA lata temu, z inicjatywy polskiej i węgierskiej, przyjętej entuzjastycznie przez przedstawicieli innych narodowości z za żelaznej kurtyny, powstał w Madrycie nieoficjalnie Komitet Narodów uciśnionych przez komunizm. Władze hiszpańskie, w pierwszym rzędzie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, odniosły się przychylnie do tej próby zjednoczenia różnych narodowości we wspólnym wysiłku dla odzyskania niepodległości dla swych krajów, stojąc na gruncie bezkompromisowego zwalczania komunizmu.

Komitet, do którego należały początkowo: Bułgaria, Chorwacja, Polska, Rumunia, Słowacja i Węgry, powiększył się następnie o reprezentantów Czech, Estonii, Litwy i Ukrainy.

Normy wzajemnej współpracy zostały ujęte w następujące punkty:

I. Wspólna akcja dla przywrócenia niepodległości i suwerenności własnych krajów. Obrona zasad chrześcijańskich i narodowych, oraz zasad demokratycznych wolności narodowej i obywatelskiej, — zasad prześladowanych i niszczonych przez reżymy komunistyczne.

II. Przedstawianie i wyjaśnianie opinii publicznej i odpowiedzialnym czynnikom kierowniczym — zagadnień, jakie się nasuwają w konsekwencji okupacji komunistycznej, — drogą prasy, agencji informacyjnej, wydawnictw, radia itp.

III. Wspólne poparcie interesów uchodźców.

IV. Przyczynienie się do lepszego zrozumienia problemów Europy wschodniej i południowo - wschodniej.

Komitet wydaje już drugi rok „Biuletyn Informacyjny" w języku hiszpańskim. Jest to bodaj jedyna periodyczna publikacja na świecie, gdzie harmonijnie współpracują różne narodowości, które w przeszłości miały niejedną kwestię sporną. Zostały wyłączone sprawy, które mogłyby dzielić. Poza artykułem redakcyjnym, dział każdego kraju jest redagowany bezpośrednio przez członka Komitetu danej narodowości.

Jest to jeden z terenów działalności Komitetu, który postawił sobie za zadanie rozwinięcie aktywnej propagandy, wykorzystując też audycje radiowe Radia Nacional de Espana, przeznaczone dla krajów w niewoli rosyjsko-sowieckiej.

ALFONS BRONARSKI

PIELGRZYMKA POLAKÓW Z SZWAJCARII

Zarząd fryburskiego Koła „Veritas" dał nowy dowód żywotności i energii, jakie cechują jego działalność, organizując pielgrzymkę Polaków zamieszkałych w Szwajcarii do Rzymu. Od dawna rozważana i dyskutowana inicjatywa ta, po pokonaniu różnych przeszkód, znalazła swe urzeczywistnienie w pierwszych dniach października. Zorganizowanie pielgrzymki nie było rzeczą łatwą. Wymagało dłuższej akcji propagandowej w celu zainteresowania inicjatywą szerszych kół emigracji, stworzenie możliwie korzystnych warunków ułatwiających powzięcie decyzji ze strony zainteresowanych osób, porozumienia z czynnikami miarodajnymi poza granicami Szwajcarii, a co za tym idzie prze-prowadzenia rozległej korespondencji. Dokonanie tych wszystkich prac, zrealizowanie projektu i opracowanie bogatego programu jest zasługą Zarządu „Veritasu" fryburskiego, w pierwszym rzędzie jego prezesa P. mgr. Adama Bocheńskiego, który nie po raz pierwszy wykazuje swe talenty w organizowaniu podobnych imprez.

Pielgrzymka nie skupiła wielkiej liczby uczestników. Warunki lokalne, trudna sytuacja finansowa emigracji naszej w Szwajcarii nie pozwoliły na to. Tym bardziej podkreślić należy wielkość wysiłku, który w tych warunkach umożliwił zrealizować piękną inicjatywę. Pielgrzymka wyruszyła, dnia 5 października, w godzinach popołudniowych z Fryburga, wzrastając liczbowo, w miarę jak do grupy fryburskiej przyłączały się inne na dalszych stacjach aż do granicy szwajcarskiej i nawet na ziemi włoskiej. Kierownictwo objął X. mgr. Jan Wawrzyńczak, który z wielkim poświęceniem pełnił obowiązki z tym związane, roztaczając opiekę duchowną nad pielgrzymką.

Przez Mediolan i Florencję przybyliśmy do Rzymu w godzinach porannych, przywitani na dworcu przez O. Michała Zembrzuskiego, Paulina z Częstochowy, w Rzymie zamieszkałego, i przez P. Majora Zinsa, stojących na czele Polskiego Ośrodka, w Domu dla pielgrzymów, założonego w jednym ze skrzydeł Kolegium irlandzkiego, w pobliżu bazyliki laterańskiej. Ośrodek ten przygarnął już niejedną grupę pielgrzymów polskich przybyłych na Rok Święty, dostarczając im nie tylko odpowiedniego pomieszczenia, ale i atmosfery życia rodzinnego. Objawy gościnności polskiej na ziemi obcej są podwójnie cenne, nie brak było ich pod dachem tego „Centro Polacco". Znaleźliśmy tam i usługę polską i sposobność nabycia różnych pamiątek polskich, nie zapomniano nawet o potrawach krajowych. Podziękować należy jednak przede wszystkim za pomoc udzieloną przy zwiedzaniu Rzymu, pod przewodnictwem częściowo O. Zembrzuskiego, częściowo jego pomocników.

Większość członków naszej pielgrzymki nie znała jeszcze Rzymu. Oni więc w pierwszym rzędzie doznać musieli silnych wrażeń, jakich dostarcza bezpośrednie zetknięcie z Wiecznym Miastem. Ale i ci, którzy już byli tam poprzednio, prędko doszli do przekonania, że w czasie Roku Świętego Rzym jest jeszcze więcej niż kiedykolwiek duchowym centrum świata. Nikt nie wątpi, że Rzym jest stolicą katolicyzmu, ale kto jak my (zaraz nazajutrz po przybyciu) obejdzie cztery wielkie, przewspaniałe bazyliki rzymskie i znajdzie się w tłumie innych pielgrzymów, przybyłych z wszystkich stron świata, wyznających tę samą wiarę i uznających tę samą Głowę Kościoła, — ten zrozumie geniusz katolicyzmu i dumny się czuje, że jest członkiem tak potężnej instytucji, której istnienie wytłumaczyć się daje tylko jej boskim pochodzeniem. Wystarczy przejść się po gruzach starożytnego Rzymu i porównać je z pomnikami kultury chrześcijańskiej, aby dojść do wniosku, że po ludzku sądząc te ostatnie powinny były oddawna się zapaść. Cezarowie uczynili wszystko możliwe, aby budowlom swym zapewnić długotrwałość, widać to po potężnych zachowanych jeszcze murach takiego n.p. Koloseum. A jednak pogański Rzym przetrwał zaledwie 12 wieków. Rzym chrześcijański istnieje już dwadzieścia wieków.

Podobne refleksje narzucają się w czasie gremialnej audiencji u Ojca św., w której i my uczestniczyliśmy, tworząc małą kropelkę w morzu pielgrzymiego tłumu, zapełniającego po brzegi nie tylko mury największego kościoła na świecie —bazyliki św. Piotra — ale i olbrzymi plac przed kościołem, gdzie ustawiły się grupy pielgrzymów, nie mogących się znaleźć już pomieszczenia w kościele. Ale w ojcowskiej swej dobroci Papież nie chce żadnej z nich pozbawić radości zetknięcia się z Nim. Chce, aby wszyscy mogli się zbliżyć do Namiestnika Chrystusowego, jak Chrystus szedł między wszystkich. Dlatego każe się nieść od bram Watykanu przez plac św. Piotra do wnętrza bazyliki, zamiast udać się tam wprost ze swych apartamentów. O godz 5.30. popoł. powstaje wśród tłumu ludzkiego poruszenie i gwar na widok wnoszonego, na sedia gestatoria Ojca św., w orszaku towarzyszącej Mu świty, witającego serdecznymi gestami obu rąk tak licznie przybyłych dzieci Owczarni, której On jest Najwyższym Pasterzem.

Te audiencje zbiorowe to potężne manifestacje nie tylko ducha wiary, ale i powszechności i jedności Kościoła katolickiego. Wynika to choćby z samego przemówienia Ojca św. zwracającego się aż w pięciu językach do przybyłych z różnych stron świata pielgrzymek, z których każda, po wymienieniu jej nazwy, wita owacyjnie, zwyczajem rzymskim, Głowę powszechnego Kościoła. Tu es Petrus et super hanc petram aedificabo Ecclesiam meam.

Ta jedność i ta powszechność uderza także przy zwiedzaniu kościołów rzymskich, których liczba wynosi kilkaset, a wśród nich jest kościół francuski i niemiecki, amerykański i polski. Byliśmy oczywiście w tym ostatnim i to dwukrotnie na polskim nabożeństwie z pięknym przemówieniem O. Zembrzuskiego, podejmowani następnie gościnnie w sąsiadującym z kościołem św. Stanisława mieszkaniu J. E. Ks. biskupa Gawliny.

Nie wiem, czy jest człowiek stale mieszkający w Rzymie, który by znał wszystkie jego kościoły. Ale ograniczając się do najważniejszych, zauważyć należy, że obok najmonumentalniejszych, t.j. kościołów patriarchalnych i bazylik papieskich, istnieje jeszcze szereg wspaniałych świątyń, jakich w tej liczbie nie posiada żadna stolica Europy. Wspomniane bazyliki i kościoły takie jak św. Ignacego, Il Gesu, św. Andrzeja, św. Trójcy i w. in. to gmachy świadczące nie tylko o jedności, świętości i powszechności Kościoła katolickiego, ale i o jego —apostolskości, bo pełno tu śladów działalności Apostołów. Widzi się je i w mniejszych domach modlitwy, tak np. w Oratorium św. Krzyża wzniesionym nad mamertyńskim więzieniem św. Piotra, a przede wszystkim w katakumbach. W obu tych miejscach słuchamy Mszy św. odprawionych przez X. Wawrzyńczaka.

Jeżeli Rzym podnosi ducha i wzmacnia wiarę, wrażenia, które przeżywamy w ciągu całodziennej wycieczki na Monte Cassino, pod doskonałym przewodnictwem O. Zembrzuskiego, dostarczają silnych wzruszeń patriotycznych. Dramat, jaki się na tej sławnej w dziejach Kościoła górze rozegrał, a który związany został tak ściśle z historią oręża polskiego, utrwalony tu został naocznie w sposób przemawiający do duszy każdego, a wszczególności polskiego widza. Kto nie był w Monte Cassino nie może zdać sobie sprawy z wielkości, jaką tchną mury w gruzach, częściowo zresztą już odbudowanego, wspaniałego niegdyś opactwa i z grozy, jaka bije od leżącego u stóp klasztoru monumentalnego polskiego cmentarza. Założono go w najodpowiedniejszym miejscu, bo tędy szła zwycięska ofenzywa Korpusu Gen. Andersa, aby zatknąć polski sztandar na ruinach klasztornych po wypędzeniu Niemców z tej kluczowej pozycji strategicznej. Wszystko tu wielkie: przez samą naturę, która skupiła dokoła szczyty górskie, należące do najwyższych w całych Włoszech; wielkie przez historię klasztoru związaną z majestatyczną postacią św. Benedykta; wielkie przez triumf geniuszu wojskowego, który tu zapisał jedną z najwspanialszych kart historii ostatniej wojny i równocześnie polskiej.

Polakowi, przyglądającemu się wspaniałej choć pełnej grozy panoramie, nasuwają się jeszcze inne refleksje. Było to fatum historii naszej, że zwycięstwa nawet największe nie były wyzyskane politycznie i moralnie. Zła wola naszych wrogów wyzyskała naszą słabość. Wszak są uczeni, którzy dziś jeszcze odmawiają Sobieskiemu zasługi zwycięstwa pod Wiedniem, inni w wątpliwość podają, że „Cud nad Wisłą" z 1920 r., był dziełem strategii polskiej. Tegoż rodzaju krzywdzące sądy są często skutkiem braku uświadomienia z naszej strony zagranicy i obrony naszych interesów. O zaniedbaniach tego rodzaju nie będzie można nas oskarżyć odnośnie do zwycięstwa polskiego na Monte Cassino. Zostało ono przez założenie monumentalnego cmentarza i pomników na wyniosłościach związanych z polskim czynem wojennym, tak silnie zadokumentowane i przyszłym generacjom do wiadomości przekazane, że nikt nie będzie mógł wątpić i zaprzeczyć, iż tu Polacy byli i walczyli „za naszą i waszą wolność", jak głosi napis u-łożony u stóp cmentarza, i zwyciężyli, bo świadkiem tego są władze klasztorne, które objęły pieczę nad grobami polskimi. I ze wzruszeniem słuchamy Mszy św. odprawionej przez polskiego kapłana za tych poległych wśród ruin w Kaplicy, gdzie prowizorycznie złożone zostały relikwie św. Benedykta i jego siostry, Św. Scholastyki.

Po kilkudniowym zwiedzaniu Rzymu i wycieczce na Monte Cassino, nadeszła pora powrotu do Szwajcarii, ale po drodze oczekiwały nas jeszcze podniosłe wrażenia w mieście św. Franciszka, w Asyżu. Bylem tam przed wojną, w pełni maja, i odniosłem wówczas bardzo silne wrażenie. Z pewną trwogą jechałem tym razem, nie wiedząc czy przy powtórnym zetknięciu, w porze jesiennej, będą one równie korzystne. Lecz obawy moje były bezpodstawne, choć po szeregu pięknych dni nadszedł właśnie dzień nieco pochmurny. Ale w tym mieście, gdzie duch mistyczny zespala się z duchem piękna, czuć jeszcze obecność św. Franciszka i tym się tłumaczy czar jakim owiane są mury Asyżu. Ze wzruszeniem zwiedziliśmy kościół Porcjunkuli w dolnym mieście, oprowadzani przez brata Leona, Polaka, staruszka, miłego, dobrego, jak musiał nim być znany z Fioretti Frate Leon. Zwiedziliśmy następnie i bazylikę z kryptą świętego, kościół św. Klary z jej grobem, pełny zacisza i poezji klasztor św. Damiana z cudnym widokiem na równinę umbryjską w oświetleniu popołudniowego i zachodzącego słońca. Cóż dziwnego, że tutaj właśnie, w tym uroczym zakątku, powstał sławny Hymn do Boga, Twórcy słońca, Cantico del Sole:

Laudato sie Misignore, cum tucte le tue creature
Specialmente messor lo frate sole.

Wrażenia, które opisałem w Wiecznym Mieście, na Monte Cassino i w Asyżu, nie mniej i w Mediolanie, gdzie w podziw wprawiła nas odrestaurowana już prawie kompletnie katedra, zawdzięczamy inicjatorom i organizatorom pielgrzymki. Raz jeszcze podkreślić pragnę pełną poświęcenia pracę i zasługi X. mgr. Wawrzyńczaka i p. Adama Bocheńskiego, prezesa fryburskiego „Veritasu". Należy im się szczere podziękowanie, jak również tym, którzy do zorganizowania wycieczki i jej bogatego programu się przyczynili: P. Marguerite Emery, sekretarce gen. Misji katolickiej w Fryburgu, O. Prof. Bocheńskiemu, O. Kasjanowi, kapucynowi, O. Zembrzuskiemu, p. C. Kalinie, wice-prezesowi „Veritasu", p. Dr. Tadeuszowi Starkowi w Genewie. W krótkim czasie zaledwie 8 dni, godząc cele religijne pielgrzymki z uzasadnionymi zainteresowaniami historycznymi i artystycznymi, nie można było więcej przeżyć i zobaczyć, więcej wrażeń zebrać i wniknąć w geniusz chrześcijańskiej kultury, jaką tchnie cała Italia, a której Rzym jest najdoskonalszym wyrazem.

Alfons Bronarski

Z WĘDRÓWEK BISKUPA-WYGNAŃCA

POLONIA ARGENTYŃSKA GOŚCI PROTEKTORA EMIGRACJI POLSKIEJ

Polacy w Argentynie przeżyli w październiku br. chwile wielkie, niezapomniane i piękne. Przybył bowiem do nas Delegat Stolicy Apostolskiej, duchowy ojciec polskiego wychodźstwa, Biskup-Żołnierz i Biskup tułacz — J. E. X. Józef Gawlina.

Jego wizyta w Argentynie nie była tylko duszpasterską wizytacją wśród argentyńskiej Polonii, lecz miała olbrzymie znaczenie dla idei polskiej emigracji — X. biskup Gawlina bowiem, jako wysłannik Stolicy Apostolskiej złożył oficjalne wizyty wysokim czynnikom państwowym. Serdecznie przyjmował X. Biskupa Prymas Argentyny, kardynał Copello oraz Nuncjusz Apostolski biskup Fietta, który omawiał z nim sprawy, związane z organizacją duszpasterstwa polskiego w Argentynie, jak również sprawy o szerszych aspektach.

Po wizytacji w odległej prowincji Missiones, Ekscelencja przybył do Buenos Aires, gdzie przez okres dwu tygodni przyjmowany był przez wszystkie polskie organizacje na terenie stolicy, w miejscowościach podmiejskich, oraz nieco odleglejszych jak Lujan i La Plata. Przyjmowały go — Związek Kobiet Polskich, Rada Nadzorcza Związku Polaków, Klub Polski, Stowarzyszenie Inżynierów i Techników, Związek b. Wojskowych, Towarzystwo śpiewacze im. Szopena i inne — słowem — cała Polonia. Najwspanialszym z pośród tych przyjęć był uroczysty Akt Powitania Ekscelencji przez Polonię Argentyńską w salonie Colegio la Salle w dniu 15 października, w czasie sumy pontyfikalnej w kościele N. Marii Panny. Olbrzymi kościół wypełniony był po brzegi; poczty, sztandarowe, śpiew chóru, wspaniała postać X. Biskupa na tle rozmodlonego tłumu — wszystko to złożyło się na nastrój podniosły i wzruszający, a przytem tak polski. Ta Suma jest dla nas niezapomnianym, głebokim przeżyciem. Słowa wspaniałego kazania J. E. X. Biskupa zapadały w serce. Kazanie było syntezą naszych wojennych zmagań, naszej narodowej tragedii i naszej wiary. „Polonia semper fidelis" — oto najistotniejsza jego treść. „Semper fidelis" był także Kościół w stosunku do nas — głęboka miłość do Polski papieża Piusa XI, wielkie zrozumienie dla cierpień narodu w czasie wojny Piusa XII i Jego ojcowskie, pełne troski i bólu nastawienie do obecnych tragicznych spraw polskich — oto wyraz wierności Stolicy Apostolskiej dla Polski katolickiej. W dalszych słowach pięknego kazania X. Biskup wyraził wiarę w sprawiedliwość Bożą i wolność Polski, poczym udzielił wiernym błogosławieństwa, przesłanego nam przez Papieża. Ojciec święty rękami polskiego Biskupa błogosławił naszym rodzinom, naszym pracom i naszym tęsknotom. Wyszliśmy z kościoła pokrzepieni i umocnieni w wierze. Czuliśmy, że możnego mamy protektora.

Uroczysty Akt powitania X. Biskupa przez Polonię odbył się tegoż dnia wieczorem. Złożyły się nań przemówienia i referaty oraz część artystyczna. Przybycie Dostojnego Gościa oznajmiono przez megafon. Wśród niemilknących okrzyków wszedł dostojny i uśmiechnięty, w czerni i fioletach. Cieszyły się nasze oczy, że wygląda pięknie, że nie zmienił się wcale przez pięć lat tułactwa.

Po wspólnym odśpiewaniu Hymnu Narodowego powitał Ekscelencję prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, a następnie w imieniu dzieci przemawiał mały chłopiec w krakowskim stroju. Czystym, dźwięcznym głosem mówił Biskupowi, że dzieci polskie w Argentynie uczą się po polsku i chodzą do polskich kościołów, że kochają Kraj rodziców, którego nie widziały i że dla tego Kraju chcą pracować. A gdy chłopiec wzniósł okrzyk na cześć X. Biskupa — salę ogarnął entuzjazm. Głos dziecka czysty, śmiały i piękny brzmiał niby najczystsze pragnienie wszystkich i była w nas duma z rosnącego tu pokolenia.

Dzieci rozpoczęły też część artystyczną. Tańczyły. Scena mieniła się strojami pięknymi, migotały wstążeczki krakowianek, malutkie kujawianki z wdziękiem kołysały się w rytm kujawskiego tańca, większe panienki tańczyły Trojaka.

A potem śpiew. Wystąpił nasz „Chór im. Szopena", entuzjastycznie oklaskiwany przez publiczność.

Wreszcie przemówił X. Biskup: Był bardzo wzruszony. Gratulował wspaniałych tańców, z których jeden był mu „szczególnie bliski" (Trojak), a dla naszego Chóru miał najwyższe pochwały: „Chór im. Szopena śpiewa pięknie, śpiewa elegancko, śpiewa wytwornie". „Chór im. Szopena ma inną wielką wartość, którą jest jego nastawienie społeczne". I tu ukochany nasz Gość rzekł kilka gorących słów na temat Domu Polskiego, którego sprawa od roku zajmująca Polonię w tych dniach wkroczyła na nowe tory: znaleziono piękny dom i już zadatkowano, lecz wielka suma jest jeszcze potrzebna. X. Biskup objął protektorat nad sprawą Domu Polskiego i zaofiarował na ten cel 2.000 pesos. Jest to dowód ogromnej serdeczności, ofiarności i ojcowskiego zrozumienia naszych tu spraw. Drogi nasz Gość obiecał również poświęcić ten Dom przed wyjazdem z Argentyny i wyraził nadzieję, że brakująca suma zostanie szybko zebrana. X. Biskup mówił entuzjastycznie, dowcipnie, i — ślicznie po prostu! Przerywano mu co chwila oklaskami. Wreszcie mówił „sercem samym — przypomniał nam, że najistotniejszym warunkiem zachowania polskości jest zachowanie wiary i Mores Paterni — obyczajów ojców. Podkreślił ze wzruszeniem, że emigranci polscy w Brazylii, których wizytował przed przybyciem do nas, potomkowie pierwszych emigrantów sprzed lat stu — zachowali mowę polską i wiarę. Wyrażał radość spowodu głęboko katolickiej i narodowej postawy Polonii argentyńskiej, nawoływał do wytrwania, miłości i zgody, dawał nam cenne rady, mówił jak Ojciec miłujący dzieci. Wreszcie wiele słów poświęcił Matce Najświętszej i Jej kultowi w Polsce. Rzucił też myśl, by zgromadzeni wysłali depeszę do Ojca świętego w sprawie przyśpieszenia ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu — co zostało przyjęte najgorętszymi oklaskami. (Zaznaczyć tu trzeba, że wiele osób wyraziło zdziwienie, sądząc, że Wniebowzięcie jest już dogmatem...) Świadczy to nie tyle o ignorancji w sprawach religijnych — ile o kulcie Wniebowzięcia w Polsce, który zrósł się z naszą historią.

X. Biskup Gawlina nawoływał również do modłów o kanonizację królowej Jadwigi i polecał nam zwracać się do niej o ukojenie chorób i dolegliwości, w czym jest wielce pomocną. Swe piękne przemówienie zakończył nasz Gość staropolskim — „Kochajmy się" — i wtedy czuliśmy wszyscy, że słowami tymi wlewa w nas miłość — tak konieczny i tak istotny czynnik w dzisiejszym życiu. Wspólne odśpiewanie Boże coś Polskę zakończyło tę niezapomnianą, krzepiącą nas uroczystość.

Pobyt J. E. X. Biskupa Józefa Gawliny w Argentynie jest w historii argentyńskiej Polonii ważną datą. Pobyt ten stał się przede wszystkim manifestacją wierności wiernej ojców i ziemi Polskiej, stał się symbolem wartości ducha i ich prymatu nad szarzyzną życia, i stał się pieśnią nadziei w zwycięstwo tych wartości.

Postać Protektora wychodźstwa polskiego — Biskupa-żołnierza i wygnańca pozostanie dla nas najpiękniejszym przykładem człowieka, wiernego najwyższym ideałom, człowieka, który życie swe poświęca dla tych ideałów wytrwale i całkowicie.

Józefa Radzymińska

TRYUMF ROKU ŚWIĘTEGO

Jeden z wysokich prałatów Kurii Rzymskiej, zapytany ostatnio o Rok Święty, odpowiedział: *„Rok Święty 1950 jest tryumfem"*.

Jest dziś dla wszystkich oczywiste, że tak jest w istocie. Przez całe lato tłumy pielgrzymów napływały do Rzymu i były przyjmowane przez Papieża dwa razy w tygodniu na audiencjach zbiorowych w Bazylice Św. Piotra. Ilość Pielgrzymów na jednej audiencji dochodziła do 80 tysięcy osób. Ponieważ Bazylika pomieścić może około 50 tysięcy osób, część pielgrzymów poprzestawać musiała na placu św. Piotra, gdzie Papież niesiony na sedia gestatoria udzielał błogosławieństwa. Gdy napływ pielgrzymów wzmógł się jeszcze w miesiącu wrześniu, przyjęło się, że Papież przyjmuje pielgrzymki popołudniu w Castel Gandolfo w te dni, kiedy nie przyjeżdża do Rzymu. Audiencje te odbywają się w dziedzińcu pałacu letniego w Castel Gandolfo i mają charakter bardzo bezpośredni, prawie intymny: Papież wychodząc na balkon niskiego pierwszego piętra, przemawia do pielgrzymów, rozmawia z nimi i udziela swego błogosławieństwa.

Do uświetnienia Roku św. przyczyniają się podjęte na nowo w tym miesiącu beatyfikacje. Cały Rzym przygotował się do uroczystości, która jest punktem kulminacyjnym Roku Św., t. j. ogłoszenie dogmatu Wniebowzięcia N. M. Panny w dniu 1-go listopada.

Już dotychczasowa ilość pielgrzymów na Rok Św. 1950 przekracza wszystko, co kiedykolwiek w poprzednich latach jubileuszowych zanotowano. Na pierwszym miejscu są jak dotąd Francuzi i Niemcy, nie mówiąc oczywiście o Włochach. W Watykanie z pewną melancholią wspominają lata 1925 i 1933, gdzie tyle i tak dobrze zorganizowanych pielgrzymek polskich przyjeżdżało do Rzymu. W tym Roku Św. tylko Polacy z emigracji reprezentują Polskę.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

w tych dniach rząd belgradzki uchwalić miał nowe zarządzenia rygorystyczne przeciw katolikom: dalsze ograniczenia nauczania religii w szkołach, zastraszenie rodziców którzy na przyszłość będą musieli prosić na piśmie o naukę religii dla dzieci w szkołach, wreszcie dalsze szykany kleru, który będzie pozbawiony dobrodziejstw ubezpieczenia społecznego itd. Republika federalna jugosłowiańska jest komunistyczna i wzmagając prześladowania religii katolickiej chce wykazać, że taką pozostaje i to z nie mniejszą bezwzględnością i perfidią, jak demokracje ludowe zależne od kominformu.

Nikt zresztą nie miał nigdy co do tego iluzji. Rok Św. 1950 pobudza do wściekłości wszystkich tych, którzy szydzą z cywilizacji chrześcijańskiej i którzy obawiają się odrodzenia wewnętrznego jakie Rok Św. przynosi podzielonemu światu, kierując myśli i uczucia ku pokojowi i zgodzie. Naturalnym jest więc, że apostołowie nienawiści burzą się.

BEATYFIKACJA BŁOG. ANNY MARII JAVOUHEY

W Niedzielę 15 października miała miejsce w Bazylice Św. Piotra beatyfikacja Anny Marii Javouhey, Francuzki, założycielki Sióstr Św. Józefa z Kluny. Kongregacja ta w ciągu 150 lat swego istnienia rozszerzyła się po całym świecie, zajmując się apostolstwem, zakładając szkoły i szpitale w Europie, Afryce, Ameryce, Azji i Oceanii. Ojciec św. zeszedł popołudniu w otoczeniu swego Dworu duchownego i świeckiego do Bazyliki, by oddać cześć nowej Błogosławionej. Ambasadę RP. reprezentował na tej ceremonii Radca Kanoniczny. ks. Prałat W. Meysztowicz.

STATYSTYKA PRZEŚLADOWAŃ

Watykan opublikował ostatnio dane, dotyczące prześladowań Kościoła Katolickiego w krajach Europy wschodniej i środkowo-wschodniej. Wynika z nich, że ponad 11.000 księży zostało skazanych, deportowanych względnie zamordowanych. Oto jak Watykan przedstawia sytuację w poszczególnych krajach:

R U M U N I A: Wszyscy żyjący księża znajdują się w więzieniach, około 700 zamordowano. Stosunki z Watykanem są zerwane.

B U Ł G A R I A: Instytucje kościelne nie posiadają żadnych praw. Stosunków z Watykanem nie ma.

A L B A N I A: Wszyscy biskupi i 715 księży aresztowani jako „wrogowie ludu". Dwóch biskupów stracono, arcybiskup Durazzo skazany na 20 lat więzienia.

U K R A I N A: Ponad 3600 księży nie żyje, zakony rozwiązane, około tysiąca kościołów zamknięto.

P O L S K A: Ponad 1000 duchownych albo rozstrzelanych albo zamkniętych w obozach koncentracyjnych.

C Z E C H O S Ł O W A C J A: Wszystkie organizacje katolickie rozwiązane, arcybiskup Beran w areszcie domowym, około 300 księży w więzieniach. Pozamykane również szkoły katolickie, a w szkołach państwowych nauka religii tępiona.

W Ę G R Y: Od czerwca br. „rozprawiono się" z 538 księżmi, aresztując ich, deportując względnie rozstrzeliwując. Jednego z biskupów rozstrzelały sowieckie władze wojskowe, ponieważ stanął w obronie dziewcząt i kobiet niewolonych przez żołnierzy sowieckich. Kardynał Mindszenty skazany na dożywocie. W czerwcu ponad 1000 zakonników i zakonic musiało upuścić swe klasztory po to, by znaleźć się w obozach koncentracyjnych.

J U G O S Ł A W I A: Aresztowano, deportowano względnie skazano 1954 księży. 196 z nich oddało swe życie bez żadnego sądu. Arcybiskup Stepinac otrzymał 16 lat więzienia.

— — —

W POLSCE rozpoczęto z kolei represje wobec kościoła ewangelickiego. Na początek skonfiskowano im historyczny kościół św. Trójcy w Warszawie i uniemożliwiono wybór biskupa wyznania ewangelicko-augsburskiego. Dawny biskup dr Bursche został w r. 1942 uwięziony przez Niemców i zginął w obozie koncentracyjnym. Zastąpił go (od r. 1945) ks. J. Szeruda, którego zwolnić miał obecnie nowoobrany biskup. Na wybór ten jednak reżim nie zezwolił. Zauważyć trzeba, że wyznanie ewangelicko-augsburskie liczy w Polsce ponad ćwierć miliona wyznawców.

W JUGOSŁAWII marszałek Tito przeszedł obecnie do t.zw. „polityki pokojowej", w ramach której zarówno Kościołowi Katolickiemu jak i protestanckiemu „przyznał" pewne ułatwienia. Po raz pierwszy od objęcia władzy przez komunistów w kilku miejscowościach otworzone zostały zbory luterańskie (dotąd zezwolenie miał tylko Zagrzeb), kościół prawosławny otrzymał spowrotem do dyspozycji najstarsze seminarium teologiczne w Serbii, w diecezji Pazin zezwolono na wyświęcenie nowego biskupa katolickiego i obsadzenie dziewięciu innych stolic biskupich, młodzieży nie powstrzymuje się gwałtem od uczęszczania na naukę religii. W odniesieniu jednak do uwięzionego od czterech lat arcybiskupa Stepinaca reżim pozostał nadal nieugięty.

Arcybiskup — według ostatnich doniesień — znajduje się w największym z więzień jugosłowiańskich w m. Lopoglava, mieszkając w celi 4x3 metry i mając sąsiednią celkę do dyspozycji jako kaplicę. Zajęty jest przekładem życiorysów świętych z francuskiego na język serbsko-kroacki.

Przy tej całej „polityce pokoju" wszyscy nauczyciele i profesorzy otrzymali zakaz brania udziału we Mszy św. Za przekroczenie tego zakazu grozi utrata stanowiska. Episkopat jugosłowiański zareagował na to zarządzenie w ten sposób, że udzielił wszystkim nauczycielom ogólnej dyspensy.

CZECHOSŁOWACCY uchodźcy przynoszą wiadomości, że reżim czeski przygotowuje obecnie ustawę, na mocy której skonfiskowane zostaną wszystkie skarby kościelne i dzieła sztuki. Po kościołach robi się już odpowiednie spisy. Ten sam los podzielić mają biblioteki.

Ostatnio deportowano do specjalnego obozu koncentracyjnego szereg sióstr. Policja zjawiła się w klasztorach żeńskich wczesnym rankiem, bez żadnego wyjaśnienia nakazała siostrom spakować osobiste rzeczy i wywiozła je do obozu.

W RUMUNII z końcem września policja polityczna przeprowadziła nagłe aresztowania resztek księży unickich, oraz kilkudziesięciu księży rzymsko-katolickich, którzy ukrywali się jeszcze wśród ludności wiejskiej. Aresztowania trwały 10 dni, i towarzyszył im niesłychany terror. Aresztowanych umieszczono początkowo w jednym z koncentracyjnych klasztorów następnie wywieziono do obozu ciężkich prac.

Ś W I Ę T O „CHRYSTUSA ROBOTNIKA"

Biskupi, głównie hiszpańscy zwrócili się do Ojca św. z propozycją ustanowienia święta Chrystusa-Robotnika (cieśli z Nazaretu).

„WIELKA TAJEMNICA"

Pod takim tytułem nakręcony został w Wiedniu przez ks. prałata Rudolfa długometrażowy film, przedstawiający całość Ofiary Mszy św. Otwartą pozostawiamy sprawę, czy temat ten nadaje się wogóle do filmu, notujemy jedynie fakt jako taki. Film przedstawia cały przebieg Mszy św. tak, jak ją codziennie oglądać i słuchać może każdy katolik i niekatolik. Wszystkie teksty są czytane na głos i objaśniane, uzupełnia je śpiew gregoriański i msza f-moll Brucknera w wykonaniu chóru katedry św. Stefana z towarzyszeniem orkiestry. Cały film trwa półtorej godziny. Twórca wyjaśnia, że jest to eksperyment, próba zużytkowania nowoczesnej techniki filmowej do zadań Kościoła — uświęcania ludzi.

„APOSTOŁOWIE NIENAWIŚCI"

Pod tym tytułem dziennik Akcji Katolickiej, rzymski „Quotidiano", daje artykuł, w którym p. Carlo Adami omawia echa Roku Św. Podczas gdy przed kilku dniami londyński „Times" opublikował artykuł wskazujący na sukces i znaczenie Roku Św., jesteśmy teraz świadkami innej reakcji, tym razem nienawistnej. „Viestnik" wychodzący w Zagrzebiu ogłosił gwałtowny artykuł przeciw „tak zwanemu Rokowi Świętemu". Dla „Viestnika" Rok Św. jest tylko okazją dla Papieża, by wzywać do przelewu krwi w Imię Chrystusa i wygłaszać frazesy o tzw. „panowaniu cywilizacji chrześcijańskiej".

„Quontidiano" stwierdza wobec tego, że wystąpienie „Viestnika" nie jest zwykłym symptomem niepohamowania w słowach, ale wyrazem pewnego programu. Właśnie

NOWE FILMY

»TRZY SEKRETY« („Three Secrets")

K i n o: „Warner Theatre". P r o d u k c j a: United States Pictures. S c e n a r i u s z: Martin Rackin i Gina Kaus. R e ż y s e r: Robert Wise.

MAM zwyczaj czytywania wszystkich dostępnych mi recenzji angielskich o filmach, które sam recenzuję. Daje mi to nie tylko możliwość skontrolowania własnego odbioru i uzupełnienia informacji zakulisowych, ale także i może przede wszystkim, stały wgląd w gusta i mentalność moich angielskich kolegów, a pośrednio Anglików w ogóle. Przeważnie nie zgadzam się z ocenami angielskimi. Dowodziło by to, że Polak i Anglik są ulepieni jednak z różnych gatunków gliny.

Ciekawym przykładem niechęci krytyki angielskiej do wszelkich filmów z problemami, a także do dzieł prostych, pokazujących świat uczuć elementarnych — jest reakcja na film „Trzy sekrety". Wykpiono ten obraz bez miary i litości. Według recenzentów brytyjskich jest to film płaczliwy, sztuczny, „czysto kobiecy" i zupełnie nieprawdopodobny. Pan Fred Majdalany z „Daily Mail" twierdzi, że „Trzy sekrety" nie są w stanie wzruszyć żadnego mężczyzny i wyśmiewa wspaniałą aktorkę Eleonorę Parker za łzy wylewane na ekranie — rzekomo bez ustanku (co nie jest prawdą).

Film wzruszył mnie i na pewno wzruszy nie tylko każdą Polkę, ale także każdego przeciętnie wrażliwego Polaka. To nie jest film kobiecy — to dzieło po prostu ludzkie.

Problem „Trzech sekretów", który dostrzegł tylko krytyk „Catholic Herald'a" (rzecz jasna nie przypadkowo — katolik musi czuć powszechne problemy) brzmi bardzo prosto: „Czy matka, rezygnująca ze swego dziecka, może przestać je kochać, zapomnieć o nim?"

Katastrofa lotnicza. W niedostępnych górach, pod szczątkami samolotu mały chłopiec przy zwłokach swych przybranych rodziców. Podczas gdy u podnóża góry gromadzi się ochotnicza ekipa ratownicza (obrabiana fachowo przez legion reporterów), jeden z dzienników ujawnia datę i miejsce oddania dziecka do towarzystwa adopcyjnego, zajmującego się rozdziałem sekretnych dzieci. Na zasadzie tych danych trzy jednocześnie matki udają się na miejsce poszukiwań, podejrzewając, że chodzi tu o ich dziecko. Zręczne cofnięcie w czasie, przeplatane realistycznie (choć nie bez pewnej ironii pod adresem wścibskich reporterów) pokazaną akcją ratowniczą — informują nas o trzech sekretach, trzech dramatach niepożądanego macierzyństwa. A więc synek Susan Chase (Eleonor Parker) był owocem wojennego romansu z marynarzem -cudzoziemcem, który musiał powrócić na swój okręt; dziecko Phyllis Horn, zdolnej i rozlatanej po świecie dziennikarki, urodziło się wprawdzie z małżeństwa, ale już po rozwodzie i zostało zaniechane dla błyskotliwej kariery; wreszcie synek tancerki Ann Lawrence (Ruth Roman) przyszedł na świat w więzieniu w wyniku cynicznego uwiedzenia i po zamordowaniu przez matkę (w afekcie) ojca — bogatego lowelasa bez czci i skrupułów.

W czasie trwającej dość długo akcji ratowniczej domniemane matki zaprzyjaźniają się ze sobą. Z wielkim napięciem witają rakietę wystrzeloną na znak, że chłopczyk został odnaleziony. Jeśli będzie druga, — to znaczy, że dziecko żyje. Długa chwila ciemności — i wreszcie oddech ulgi: biała raca wykwita zza horyzontu, kreślił łuk na ekranie nocy. Dobrze, ale czyje to dziecko niosą w dół ratownicy? Kto ma prawo i obowiązek nim się opiekować wobec śmierci prawnych opiekunów? — Przedsiębiorcza dziennikarka korzysta ze stosunków, wykrywa tajemnice strzeżoną przez ustawy: mały Johnnie jest dzieckiem Anny, tancerki, b. zbrodniarki. Ta, prócz miłości, nie ma nic do zaofiarowania, chyba smutną wiadomość, że zabiła ojca. Dwie kobiety naradzają się w tajemnicy przed Susan, a gdy ta zapytuje, czyje jest dziecko, odpowiadają: „Nie wiadomo — nasze wspólne, ale ty je zabierzesz, bo najłatwiej możesz je wychować".

Streszczony wyżej scenariusz dał szerokie pole do popisu reżyserowi i trzem dobrym aktorkom. Żadna z nich nie zawiodła. Reżyser dał piękne skróty, potrafił dramat wewnętrzny przetransponować na język filmu: ruchomy, zmienny i żywy, mimo zrezygnowania z pokazywania samej akcji ratowniczej w górach — oglądamy ją tylko od strony przygotowań i wyników. Eleonor Parker, laureatka nagrody Biennale, stworzyła piękny typ uczuciowej, wrażliwej, bardzo kobiecej matki; Patricia Neal jest dobrą dziennikarką, która nie przestała być człowiekiem, a Ruth Roman (chyba Włoszka) namiętną, żywiołową grzesznicę: błądzi oszołomieniem serca, ale płaci wielkością wyrzeczenia. Trudno powiedzieć, która z tych kreacji jest najlepsza — wszystkie na pewno bezbłędne i godne obejrzenia. Film — wbrew kpinom Anglików — nie wyciska tanich łez, mnie nie wycisnął żadnej. Ale dał mi dreszcz wewnętrznej, nie czułostkowej emocji i parę chwil zamyślenia.

St. Pał.

OSTATNIA PIELGRZYMKA

Dnia 21 grudnia 1950 wyjazd z Londynu.

Trasa: Londyn (Victoria), Newhaven, Dieppe, Paryż, Modena, Turyn,, Genua, Piza, Roma.

Dnia 30 grudnia 1950 — powrót do Londynu.

Trasa: Florencja (Śniadanie we Florencji na własny koszt; możliwość obejrzenia katedry), Turyn, Paryż (obiad na własny koszt i obejrzenie Notre Dame), Boulogne, Folkstone, Londyn (Victoria).

Koszta podróży z wyrobieniem dokumentów, z wyżywieniem i noclegami w Rzymie, z opłatą: wejściowe do miejsc zwiedzań, przewodników, obsługi, tessera (karty pielgrzyma), z przewiezieniem pielgrzymów ze stacji do miejsc noclegowych i z miejsc noclegowych do stacji: 25 £ 10 sh. (mogą być małe szylingowe odchylenia kosztów).

Zgłoszenia i opłatę należy kierować na adres ks. mgr. H. Kornackiego, 17, Penywern Rd., London, S. W. 5.

Ostateczny (bezwzględnie) termin zgłoszeń do dnia 15 listopada (kto zgłosi się później, koszt podróży będzie wynosił 26 £ 10 sh. i nie będzie zarezerwowanych miejsc).

NA MARGINESIE

PRZESTROGA

ZNALIŚMY wielkiego aktora Stefana Jaracza, nie wiedzieliśmy jednak jak świetnie piórem władał i jak głębokich myśli, to co pisał było wyrazem. Wyjmuję z jego listu na Walny Zjazd ZASP'u z tak zwanego „Testamentu" Jaracza następujący urywek:

„Najem, posada, osobisty sukcesik, popisik, reklamka, fotografia, wzmianeczka i kręć się karuzelo, wszak wojna już się skończyła... Powiedzmy otwarcie, do czego jesteśmy zdolni, do czego przygotowani, do czego dojrzali, i tego tylko bez blagi się podejmujmy. Nie udawajmy wiecznie czegoś, bo poza udawaniem kryje się najczęściej małpa".

Jaracz, gdy to pisał miał na myśli aktora, ale jakżeż te ostatnie dwa zdania pasują do wszystkich scen ludzkiej działalności. Jaka tkwi w nich pożyteczna przestroga dla niejednego aktora na naszej emigracyjnej widowni...

REKINY

WEŁNA zdrożała. Wszyscy już o tym wiemy. Mało kto natomiast zdaje sobie sprawę z tego, co na tej zwyżce zarobiły i zarabiać jeszcze będą rekiny spekulacji. Funt „tłustej" wełny australijskiej kosztował w Sydney we wrześniu 1949 roku — 43,20 pensów. Jedenaście miesięcy później w sierpniu 1950 funt tej samej wełny już wynosił 107,56 pensów, a we wrześniu dokonywano tranzakcyj po 117,71 pensów. Ponieważ wełna jest towarem, pod którego zastaw uzyskiwać można kredyt w różnych formach, zarobek producentów i spekulantów w stosunku do efektywnie unieruchomionego kapitału wynosi tysiące procentów.

Kto stracił? Dziesiątki milionów ludzi, którzy zapłacą za wełnianą odzież o 20 czy 30 procent drożej. Świat kapitalistyczny może się poszczycić jeszcze jednym: Potrzeby Rosji w wełnie zostały zaspokojone w okresie tanich cen!

„CIĘŻKIE I SZKODLIWE"

EGZORTA Ojca Św. z dnia 23 września zwrócona do kleru katolickiego wspomina „o ciężkich i szkodliwych następstwach" kapitalizmu. Przykłady znajdujemy na każdym kroku. Na „ciężkie i szkodliwe następstwa" apetytów włoskich producentów żali się ostatnio p. Leon Dayton, szef planu Marshalla we Włoszech. Przemawiając w Genui, w mowie skierowanej do przedstawicieli przemysłu i handlu, Amerykanin, napiętnował tych wszystkich, którzy zagarniając nadmierne zyski, hamują proces podnoszenia skali życia ludności i oddają w ten sposób usługę komunizmowi.

„Chciałbym zapytać — mówił p. Dayton —, dlaczego metr wełnianej czy bawełnianej tkaniny, którego wyprodukowanie nie kosztuje więcej jak od tysiąca do dwóch tysięcy lir, sprzedawany jest po cenie pięciokrotnie wyższej? A może mi kto odpowie — ciągnął dalej — dlaczego za parę trzewików, których koszt własny szewca nie przekracza łącznie z podatkiem od tysiąca do dwóch tysięcy lir płacić trzeba sumę pozostawiającą sprzedawcy zarobek od 200 do 500 procent?".

P. Dayton wie doskonale, że za pomocą przestrogi nikt jeszcze cen nie obniżył, ale tak przemawiając szepnął ministrowi skarbu w ucho, że jeżeli tak dalej pójdzie, to kredyty amerykańskie mogą być znacznie obniżone.

X. Y. Z.

NOTATKI

Literatura i pisarz w pogadance Z. Broncla

NIE będąc sam erudytą, mam podziw dla ludzi wiedzących o wszystkim, pamiętających daty, umiejących coś interesującego powiedzieć na każdy temat. Gdy zaś tematem tym jest literatura, a mówiąca osoba odznacza się — prócz erudycji — także sumiennością w przygotowaniu wykładu, czy choćby pogadanki, wówczas zachwyt mój bywa tak wielki, że niekiedy zabija konieczny w zawodzie recenzenta krytycyzm. Jeśli nie stało się tak na ostatniej pogawędce Z. Broncla o pisarzu i literaturze współczesnej (w Klubie Towarzyskim YMCA), to tylko dlatego, że prelegent (posiadający zresztą wszystkie wymienione wyżej zalety) przyprawił swe wywody jakimś, dla mnie osobiście niestrawnym sosem.

Pewna nerwowa pani, która w połowie wieczoru prawie demonstracyjnie opuściła szczelnie wypełniony salon YMCA, nie wahała się wsypanej do *menu* p. Broncla przyprawy nazwać marksizmem, dodając do swej diagnozy dosadne określenie, niezbyt przychylne dla prelegenta. Stanowczo nie poszedłbym tak daleko, zwłaszcza, że wykryłem inne przyczyny zdenerwowania inteligentnej pani — nie mające nic wspólnego z wykładem. W każdym razie reakcja co najmniej 1/50 publiczności (takim ułamkiem określam zdegustowaną damę) dała mi bodźca do szczegółowszej analizy, a może nawet przesądziła napisanie tej recenzji.

A więc zacznijmy, przyjmując za punkt wyjścia negatywną ocenę anonimowej krytyczki (nota bene posiadającej wysokie kwalifikacje do sądów o literaturze współczesnej). Pan Broncel nie zdradzał ani jednym słowem swej przynależności do szkoły krytyki marksistowskiej i nie można twierdzić stanowczo, że podziela jej tezy. (Było by zresztą dziwne, gdyby emigrantów politycznych karmiono tą samą strawą, którą wpychają na siłę publiczności krajowej Żółkiewscy, Kottowie i tutti quanti). Można jednak — przy całym szacunku dla pracowitości i sumienności prelegenta — uczynić mu zarzut, że bardzo wiele zamków usiłuje otwierać jednym kluczem.

Klucz ten spróbuję obrazowo nazwać „kompleksem brzucha". Jeśli p. Broncel przy każdej okazji, przy omawianiu epoki analizuje przede wszystkim sytuację materialną pisarza, starając się odpowiedzieć na pytania kto płaci i dla kogo się pisze; jeśli pisarzy „mieszczańskich nazywa pasorzytami żerującymi na pasorzytach — zmuszonymi do apologii klasy burżuazyjnej; jeśli twierdzi, że pisarz występujący w swych dziełach przeciwko kapitalizmowi zmuszony jest żyć „jak inni" (a zatem jak mieszczanie i kapitaliści) — to mogę spokojnie określić to wszystko jako niebezpieczną symplifikację, sprowadzanie bardzo skomplikowanych i wielowymiarowych procesów do jednego i to napewno nie najważniejszego elementu, jako daltonizm, uniemożliwiający widzenie rzeczy wiecznych, duchowych, irracjonalnych. To właśnie nazywam „kompleksem brzucha".

Nie ulega kwestii, że chcąc w ramach jednego wieczoru omówić temat pisarza i literatury na przestrzeni pięciu, czy sześciu wieków, niepodobna uniknąć pewnych uogólnień. Ale uogólnienia mają pewne granice, których prelegent zdaje się nie dostrzegać. Ogólny temat wymaga wszechstronnego, choćby nawet ogólnikowo potraktowania. Zajmowanie się „brzuchem" literatury nie jest tu najlepszą metodą.

I jeszcze jedno. Red. Broncel wydaje się zafascynowany pseudofilozofią Sartre'a. Ponieważ nigdy nie deklarował się wyraźnie jako pisarz katolicki (choć napisał obszerny poemat p.t. „Litania do Matki Boskiej", drukowany w ramach tomu „Łaska nocy"), nie można od niego wymagać, aby znał i liczył się z encykliką i wypowiedzeniami Ojca św. potępiającymi stanowczo światopogląd i pisma tego francuskiego pisarza. Sądzę jednak, że prosty zdrowy rozsądek nakazuje jak najdalej idącą ostrożność w przeszczepianiu na grunt polski beznadziejnej i dekadenckiej filozofii rozpaczy. Nie pasuje ona i oby nigdy nie pasowała do mentalności naszych rodaków, odbudowujących z niczego „miasto niepokonane" — Warszawę, tych samych ludzi, o których pani Jameson pisze z najwyższym uznaniem, jako o źródle jej wiary w przyszłość.

Nie twierdzę, że ostrożność w stosunku do Sartre'a i jego szkoły ma równać się ignorancji. Wydaje mi się jednak, że p. Broncel ulega chorobliwemu, kto wie — może satanicznemu — urokowi rozpaczających intelektualistów francuskich, podczas, gdy wspomnianą wyżej, napewno mniej błyskotliwą, ale o niebo zdrowszą panią Storm Jameson zdaje się klepać po ramieniu.

Ta poufałość i lekceważenie angielskiej koleżanki nie wydają mi się słuszne. Nawet sądząc jedynie z odczytanego przez p. Broncla fragmentu jej książki „The Situation of Writer", pisarka ta sięga głębiej i patrzy dalej od Sartre'a. Jej myśl o dobrowolnym ubóstwie, jako drodze zapewniającej współczesnemu pisarzowi wewnętrzną niezależność w ramach ohydnego dzisiejszego świata, wydaje mi się trafna i bliska mym własnym rozmyślaniom.

Aby uniknąć wszelkich nieporozumień, muszę zaznaczyć, że ostania pogadanka red. Broncla była jedynie wstępem do dyskusji, która ma nastąpić w przyszłym miesiącu i do dalszych wykładów o pisarzach współczesnych (jako datę otwierającą okres współczesny w powieści przyjmuje prelegent rok 1870 — termin wprowadzenia powszechnego nauczania we Francji). Jeśli na wywody p. Broncla spojrzymy pod tym kątem, będziemy musieli przyznać, że zagajenie dyskusji było udane. Jednostronności i uproszczenia mogą być skorygowane przez samego prelegenta lub przez osoby zabierające głos w debacie, zapowiadającej się bardzo interesująco.

Ze szczerą ciekawością oczekujemy wypowiedzi p. Broncla na temat twórczości Grahama Greene'a, Mauriaca i innych pisarzy katolickich. Przy tych okazjach będziemy mieli możność przekonać się, czy i w jakim stopniu prelegent podlega daltonizmowi odbioru literackiego i jaka jest skala jego wrażliwości w stosunku do rzeczy nie wchodzących w zakres „kompleksu brzucha".

Stanisław Pałęcki

WIECZÓR AUTORSKI ZWIĄZKU PISARZY

We wtorek 7 listopada o godz. 7.30 wiecz. odbędzie się w Ognisku Polskim w Londynie (55 Exhibition Road, S.W.7) zbiorowy Wieczór Autorski, zorganizowany staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Utwory swoje czytać będą: Stanisław Baliński, Marian Czuchnowski, Gustaw Herling-Grudziński, Herminia Naglerowa, Tadeusz Nowakowski, Bronisław Przyłuski, Kazimierz Sowiński i Tadeusz Sułkowski.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu.

REPLIKA GEN. BORA-KOMOROWSKIEGO

W „Times Literary Supplement" z dnia 20 października ukazał się dłuższy list gen. Bora-Komorowskiego, replikujący na pewne twierdzenia recenzenta jego książki (o recenzji tej pisaliśmy niedawno w „Zapiskach londyńskich"). Recenzent twierdził mianowicie, że dnia 4 sierpnia 1944 r., a więc na czwarty dzień po wybuchu powstania warszawskiego, „wysunięte naprzód oddziały rosyjskie zostały przez Niemców zmuszone do wycofania się znad Wisły naprzeciw Warszawy i odwrót ten postąpił daleko na wschód. Dopiero w początkach września jednostki wojenne rosyjskie mogły znowu przybliżyć się do Warszawy". Recenzent zakonkludował, że w świetle tych faktów oskarżenie, iż Rosjanie rozmyślnie wstrzymali swą pomoc dla powstańców, nie znajduje potwierdzenia w książce gen. Bora.

W liście swym gen. Bór prostuje ten opis położenia wojennego w krytycznym okresie. Stwierdza on, że w pierwszych dniach sierpnia jednostki bojowe drugiej armii niemieckiej — jedynej z czterech armii „Heeresgruppe Mitte", która nie uległa rozsypce — podjęły kontrofensywę przeciw prawemu, tj. północnemu skrzydłu grupy pierwszej armii białoruskiej pod dowództwem gen. Rokossowskiego. Pod tym uderzeniem wspomniane skrzydło wojsk sowieckich zostało odepchnięte i wycofało się z regionu na północny wschód od Warszawy w kierunku Siedlec.

Natomiast naprzeciw Warszawy, na wschód i południowy wschód od stolicy, wojska sowieckie, które wtargnęły do niemieckiego przyczółka mostowego na peryferiach Warszawy, pozostały na zdobytych przez siebie pozycjach o ok. 10 mil od stolicy. Tak samo przejścia przez Wisłę na południe od Warszawy pozostały w rękach sowieckich.

Wyczerpawszy swój rozpęd, kontratakujące oddziały niemieckie, zagrożone na tyłach przez jednostki grupy drugiej armii białoruskiej, posuwające się równolegle do sił Rokossowskiego, lecz dalej na północ, wycofały się już dnia 12 sierpnia. Tym samym Rokossowski odzyskał swobodę działania, jego parcie w kierunku Warszawy zostało jednak podjęte dopiero dnia 10 września, przy czym oddziały sowieckie ograniczyły się do zajęcia wyłącznie Pragi. Odtąd Rokossowski pozostał bezczynny na brzegach Wisły na przeciw Warszawy.

Jeśli zważymy — wywodzi gen. Bór —, jaką strategiczną wartość dla Rosjan posiadało zajęcie Warszawy jako ważnego centrum komunikacyjnego i jako wygodnej bazy dla dalszego ataku, dalej, że siły pod dowództwem Rokossowskiego były najsilniejszą grupą wojsk sowieckich, liczyły bowiem około 75 dywizji i brygad, z których wiele było pancernych, że równocześnie Niemcy niezdolni byli wystawić więcej niż 22 dywizje przeciw tej nawale, — staje się rzeczą jasną, że to nie względy militarne przeszkadzały zajęciu Warszawy. Gen. Bór przytacza następnie stwierdzenie, poczynione w Norymberdze przez gen. Guderiana, że „cały front — jeśli to można nazywać frontem — stanowił już tylko nagromadzenie resztek naszych armii" i że „25 dywizji niemieckich zostało zupełnie unicestwionych".

„Czyż nie pokazuje to wyraźnie — pyta gen. Bór — przygniatającej przewagi Rosjan i łatwości, z jaką mogli zająć Warszawę, gdyby tylko tego chcieli?"

W zakończeniu listu gen. Bór Komorowski przypomina, że Rosjanie sami udaremnili wysiłki alianckich sił powietrznych pośpieszenia ze skuteczną pomocą Warszawie przy pomocy tzw. „shuttle service". Dopiero po wielu powtarzających się interwencjach i stracie wielu niedających się odrobić tygodni Sowiety zgodziły się na jedną operację amerykańską tego rodzaju. Stało się to w chwili, gdy los Warszawy był już przypieczętowany i gdy pomoc z zewnątrz nie mogła już zmienić położenia powstańców. „Nie można wydać słusznego sądu o wydarzeniach — konkluduje gen. Bór — póki się przeocza lub zniekształca te pouczające fakty".

WYSTAWA RYSUNKÓW FRANCUSKICH XVIII STULECIA

W Matthiesen Gallery (142, New Bond Street, W. 1), odbywa się wystawa rysunków wybitnych mistrzów francuskich XVIII stulecia. Zwraca uwagę zbiór doskonałych rysunków Watteau, przedstawiających sylwetki ludzkie, i kilka równie wytwornych Fragonardów.

Wystawa otwarta jest codziennie od 10 — 5.30, w soboty od 10-1.

W Marlborough Gallery (17-18, Old Bond Street, W. 1) odbywa się równocześnie wystawa pejzażów współczesnych malarzy francuskich. Godziny otwarcia te same co wyżej.

Na uwagę zasługuje nadto wystawa obrazów gotyckich i renesansowych (Anghiari, Palma Bugiardini, Zelotti, Dossi, szkoły katalońska, sieneńska, florencka), która odbywa się w Arcade Gallery (28, Old Bond Street, W. 1).

FESTIVAL BACHOWSKI W BATH

W mieście-uzdrowisku Bath niedaleko Bristolu, które przez wielu znawców uważane jest za najpiękniejsze pod względem architektonicznym miasto Anglii, odbył się świeżo festival muzyczny, poświęcony głównie muzyce religijnej Bacha. Śpiewy wykonane zostały przez „Bath Bach Choir", utworzony w r. 1946. Spośród wykonanych utworów na czoło wysuwała się Pasja św. Mateusza i Msza w H-moll. Koncerty odbywały się w głównym kościele miasta, gotyckim Bath Abbey. Natomiast muzyka kameralna (skrzypce, harpsychord, flet i wiolonczela) znalazła gościnę w tzw. Pump Room w budynku łazienek i pijalni wód leczniczych.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed", wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. KUROWSKI, Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734